

# FILOLOGIA POLSKA



ISSN 2450-3584

ROCZNIKI NAUKOWE **ALMANACH** on-line  
(5) 2023  
UNIwersytetu Zielonogórskiego  
MANUSCRIPTS – PREPRINTS – ARCHIVES  
MATERIALS – SOURCES

Pro Libris

Projekt, redakcja, korekta, skład i łamanie  
MONIKA KACZOR, MIROSŁAWA SZOTT, RADOŚLAW SZTYBER

# CHABROWA ODYSEJA

BARBARA WAUBEN-CZEKALSKA

*Wauben-Czekalska*

Barbara Maria Wauben-Czekalska – ur. w 1985, lekarka, absolwentka Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu i Uniwersytetu Umeå w Szwecji. Pochodzi z Ostrowa koło Sulęcina, od jedenastu lat mieszka w Niderlandach. Pracuje jako lekarz rodzinny w ośrodku dla uchodźców w Eelde i gościnnie wykłada „Opiekę zdrowotną dla migrantów” na Uniwersytecie w Groningen. Mężatka, matka sześciolatniej córki Björk i trzymiesięcznej Dary.

*Publikowany materiał nadesłano do konkursu Debiut Pro Libris, a jego autorkę uhonorowano nominacją.*

EDYCJA 1. i ostatnia (12.07.2023)

---

## Spis treści

Wstęp	{3}
Ręka prawa, noga lewa	{4}
Kolaż skarpetkowo-wspomnieniowy	{6}
Nagość, procenty i wolność	{9}
Dentysta, który w pośpiechu zapomniał szczoteczki	{11}
Tam trzy mercedesy, tu trzy rowery	{13}
Mozaika	{16}
Czarnoziem	{18}
Milczek	{22}
Brzezówka	{24}
Odwiedziny	{27}
Dzieci nie powinny umierać	{29}
Stary garaż	{31}
Kobiety na wygnaniu – od kołyski po grób	{33}
Drenthe dla Ukrainy	{36}
Dzięcioł i brzoza	{38}

---

# Chabrowa odyseja

## Zbiór opowiadań o uchodźcach dalszych i bliższych, wczorajszych i dzisiejszych

### WSTĘP

*Chabrowa odyseja* to historie osób, które na różnym etapie życia doznały przymuszonej migracji. Inspirację do ich spisania czerpałam z codziennego życia: rodzinnych opowieści o migracji na tereny województwa lubuskiego, losów pacjentów, których poznałam pracując jako lekarz w ośrodku dla uchodźców w Niderlandach, osób w trakcie tułaczki w bezpieczne miejsce, przypadkowo spotkanych w pociągu.

Chaber bławatek, pospolity chwast polny, jest rośliną samosiejką spotykaną powszechnie wśród zbóż na polskich polach, na obrzeżach dróg, w szczelinach chodników. Występuje tak powszechnie, że aż trudno sobie wyobrazić, iż ten błękitny kwiat nie od zawsze cieszył oko Europejczyków. Chaber jest archeofitem, przybył na obszar Europy w czasach wczesnohistorycznych. Nasiona bławatka zostały przywleczone przez ludzi, zwierzęta lub wiatr z innych rejonów geograficznych.

Podobnie jest z ludzkimi ruchami migracyjnymi. Ludzie od niepamiętnych czasów uciekali przed głodem, klęskami żywiołowymi, przemocą. Znajdowali schronienie w innym rejonie, asymilowali się, mieszały z rdzenną ludnością. Wzbogacali gościnną kulturę, a po paru pokoleniach nikt nie pamiętał, skąd i którą przybyli.

Nasiona bławatka odbyły swą odyseję do Europy, gdzie zastały żyzną glebę i dzięki temu wykiełkowały. Z nasion zakwitł kwiat, a ten wydał kolejne nasiona, które rozsiały się i w dzisiejszych czasach dodają walorów estetycznych polnej wędrownicy. Osoby przymusowo wygnane, przesiedleńcy, uchodźcy, migranci – jakiej by nazwy nie użyć – są ludźmi szukającymi żyznej gleby, by móc się dalej rozwijać. Pragnę przedstawić ich indywidualne „odyseje”.

Chaber bławatek nie tylko cieszy oczy, ma również zastosowanie w zielarstwie, może być stosowany jako barwnik i jest jadalny. Herbata Earl Grey z bławatkiem należy do moich ulubionych. Kubki smakowe cieszą się nią dlatego, że jego nasiono padło na podatną glebę. Żywnym gruntem dla nowo przybyłych jest otwartość. Dzięki niej nasza kultura zostanie wzbogacona w coś, co inaczej pozostałoby odległe i egzotyczne.

---

## Ręka prawa, noga lewa

Said prawie wypadł z wózka inwalidzkiego, pochylając się do przodu w kierunku plastikowego pudełka z Ikei. Chłopiec podparł się kikutem lewej ręki o biurko lekarskie. Chciwie przeglądał kuszące kolorową kiczowatością zabawki. Said miał dziewięć lat, lecz znaczenie słów *carpe diem* nie było mu obce. Prawą ręką pośpiesznie przebierał przedmioty w pudełku: płyn do puszczania baniek mydlanych, piłkę ze Świnką Peppą, samochód na sprężynie. Na jego twarzy pojawił się grymas, kąciki ust opadły, wzrok spoczął na podłodze. Kikut lewej kończyny górnej swobodnie zwisał w pustym rękawie, pasywnie przyglądając się w zazdrości akcji jego pełnosprawnego odpowiednika. Prawa ręka, już mniej chciwie, wykonywała nagłe ruchy w poszukiwaniu atrakcyjnego łupu. Jej palce obmacywały miniaturowe pudełko mazaków, opuszki palców badały chropowatą strukturę naklejki z psem.

Dziesięć minut wcześniej matka w przepoconej chuście w kwiaty pchała wózek do pomieszczenia, które było niegdyś salą gimnastyczną. Wąskie drzwi zaprotestowały i wózek utknął. Ośrodek dla uchodźców w Eelde znajdował się w starej szkole. Matka westchnęła głęboko, zmuszona do przetestowania swej inwencyjności. Pociągnęła za czarne rączki wózka. Gipsowe ścianki zaskrzypiały cicho w kolejnym proteście, a zainstalowana po prawej stronie umywalka zaczęła lekko wibrować. Zieloną podłogę pokrywały białe półkola i linie, na których pięć lat temu grupa siedmiolatków bawiła się w dwa ognie. Said wstał, balansując ciałem wzdłuż białej linii na swej jedynej, lewej nodze. Uwolniony od ciężaru wózek natychmiast złożył się wpół, a ściana i matka odetchnęły z ulgą. Chłopiec przekuśtykał parę kroków w kierunku biurka. Wypatrzył plastikowe pudełko z Ikei za moimi plecami i wskazał je gestem, dostrzegając wartościową dla dziecka zawartość pudła.

Badanie lekarskie rozpoczyna się w momencie, gdy pacjent wchodzi do gabinetu. Ręka prawa, noga lewa – są. Prawa noga, lewa ręka – kończyny, których brak. Blizny na nogach. Rany na duszy, których nie widać. Skrupulatnie zanotowałam obserwacje w dokumentacji medycznej. Na klawiaturze obdartego telefonu wybrałam numer do biura tłumaczy przysięgłych. Po chwili w słuchawce brzęczały gardłowe dźwięki języka arabskiego. Poprawiłam fartuch i zapytałam, dlaczego Said porusza się na wózku. Chłopiec z wielkim uśmiechem oglądał małego misia w niebieskim kubraczku, a matka monotonnym tonem opowiadała historię, jak gdyby relacjonowała ją po raz tysięczny. Aleppo, bomba, pożar, ogień. Druga bomba, ewakuacja, wojna. Utrata, ból, zapomnienie. Czy można zapomnieć? – zapytałam się. Said oglądał właśnie niebieski samochód z Lego Duplo, lecz odłożył go na bok i zanurkował zdrową ręką w głąb plastikowego pojemnika. Szukał dalej, gdzie indziej zawsze jest lepszy łup, za rogiem czai się nagroda, nirwana i zapomnienie.

Matka Saida chrząknęła i poprawiała nikab. Ruszała ustami powoli, po czym wykrzywiła je w sposób trudny do interpretacji. Czekałam na słowa telefonicznego tłumacza. Kabel słuchawki był niczym nić łącząca nasze kultury. Męski głos z telefonu powiedział, że kobiecie wstyd jest za chciwość swojego syna. W Syrii przed wojną chłopiec był inny. Kobieta chrząknęła, poprawiała kwiecistą chustę na głowie i dodała parę słów. Chłopiec urodził się w trakcie wojny, rozpoczął się jedenasty jej rok, mówiła. W międzyczasie Said z zapałem układał zdobyte trofea na stole: tymczasowy tatuaż z pirackim statkiem, plastikowy labirynt z chińskim znaczkiem. Matka naciągnęła chustę na oczy i widziałam tylko jej nos. Cierpienie i wstyd praktycznej matki ukryte pod nikabem.

Dwadzieścia minut później Said wyjechał z przychodni ze skierowaniem na rehabilitację. Na lewym kolanie trzymał dwie sztuki płynu do robienia baniek i trzy zabawkowe tatuaże. Koło prawego uda spoczywał plastikowy labirynt. Poruszona jego cierpieniem, nie protestowałam, że wybrał więcej zabawek niż inne dzieci. Wzbierała we mnie złość, zrodzona z wewnętrznego protestu. Te nogi powinny kopać piłkę! Pod prawym kolaniem dziesięciolatka, gdzie widać było kikut kończyny, powinno znajdować się umięśnione podudzie, zdolne wykonać zwinny unik w czasie gry w dwa ognie. Oba uda pasywnie zwisały na brzegu inwalidzkiego wózka. Skradzione dzieciństwo, życie dziecka zniszczone decyzjami dorosłych, gdzieś tam wysoko, na górze.

Ręka prawa, noga lewa. Prawo, paragrafy, decyzje dorosłych. Lewe przedramię amputowane razem z marzeniami. Lewa noga jeszcze bryka, dokazuje. Kikut prawego podudzia – świadectwo klęski dorosłych. Ręka prawa ściskająca różową zabawkę. Wyrzuty sumienia u tych na górze? Są, jak ręka lewa, noga prawa – których brak.

---

## Kolaż skarpetkowo-wspomnieniowy

Losy Wiktorii są enigmatyczne. W jaki sposób samotna, dwudziestotrzyletnia dziewczyna wróciła do Polski z robót przymusowych w nazistowskich Niemczech? Znana mi część historii jest zagmatwana, pełna luk i niedoskonałości. Czy kruczoczarne, kręcone włosy były świadectwem jej żydowskiego pochodzenia? Co Wiktoria robiła w pojedynkę w Warszawie, w czasie nalotów Luftwaffe w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku? Jak poznała Józefa? Podczas próby rekonstrukcji jej losów natrafiam na kolejne przeszkody, potykam się o doły i kamienie. Tekst wzbogacają kolejne znaki zapytania. Nawet gdyby Wiktoria jeszcze żyła, nie dowiedziałabym się wielu nowych szczegółów. Opowiadała niechętnie. Akapity tej opowieści sklejam, jak kolaż, ze strzępków mojej pamięci.

Jest ciepłe lato, słońce pali skórę. Zbieram dojrzałe czerwone porzeczki do niebieskiego, ceramicznego rondla w ogrodzie u babci Wikci za jej domem – poniemieckim budynkiem przy drodze łączącej Sulęcín z Jeziorem Ostrowskim. Babcia podaje mi do ubrudzonej porzeczkowym sokiem ręki artykuł z „Gazety Lubuskiej”. Niechętnie rzucam okiem na wyblakły od słońca tekst, przeżuwając słodko-kwaśne owoce. „Rekompensata finansowa dla przymusowych pracowników III Rzeszy” – brzmi tytuł artykułu. Moja pamięć datuje ten moment na późne lata dziewięćdziesiąte. Który to był rok? Dziewięćdziesiąty ósmy, dziewiąty? Miałam wtedy czternaście lat, dlaczego babcia podała mi, dziecku, ten artykuł do przeczytania? „Pracowałam w fabryce torfu koło Bremy. Od wilgoci chorowałam na płuca, niemiecki szpital bez wątplenia do tej pory przechowuje dokumenty leczenia. Być może z tego cierpienia wyjdzie jakaś pociecha” – do teraz słyszę jej słowa, jak gdybym znów była dzieckiem z podbródkiem ubrudzonym czerwoną porzeczką.

Wiktoria zawsze myślała praktycznie. Co minęło, nie było ważne. Ona nigdy nie rozdrapywała starych ran. Teraz żałuję, że tamtego słonecznego popołudnia nie dopytałam się, jak znalazła się w nazistowskiej niewoli. Zamiast tego po napełnieniu rondla porzeczkami aż po brzegi zasiadłyśmy razem do kontynuowania nauki robienia na drutach. Pamiętam mętnie, że byłam dumna z faktu błyskawicznego opanowania tej sztuki. Babcia Wikcia była bardziej krytyczna w ocenie moich postępów. Ze zmrużonym okiem spoglądała na zrobioną przeze mnie dzień wcześniej skarpetę, która bardziej przypominała śpiwór dla myszy niż część ludzkiej garderoby. Wprawnym ruchem spruła połowę moich wysiłków i w ciągu paru minut związała kolorową włóczkę w elegancką piętę. Z wrażenia moja szczęka otworzyła się, ukazując resztki porzeczek między zębami. Babcia dodała zmęczonym głosem: „to jedynie prosty zabieg. Gdybym tylko mogła kontynuować naukę na krawcową... Nie takie triki bym potrafiła, gdyby nie te bombardowania Warszawy”.

– Bombardowania Warszawy? – zapytałam, odbierając skarpetę z jej ręki. Nie wiedziałam, że kiedykolwiek mieszkała gdzie indziej, że miała kiedyś inne życie.

– Zamiast krawcową, zostałam sanitariuszką – dodała babcia, ręką wskazując na lewe ramię. – Z dumą nosiłam czerwony krzyż, lecz gdy nadleciały pierwsze samoloty, strasznie się bałam, do tej pory pamiętam wygląd bramy, w której się schroniłam.

Wiktoria sięgnęła do koszyka po druty. Konary starej, ostrowskiej antonówki powoli zapewniały dający ulgę cień, a my usiadłyśmy na pniakach pod jabłonią. Lato było niemiłosiernie gorące. Bez głębszych przemyśleń przeszliśmy dalej do codziennych czynności, wypełniaczy szarego dnia. Gdybym mogła cofnąć czas, dopytałabym, jak wyglądała ta brama? Czy była częścią starej kamienicy? W jakiej dzielnicy znajdowała się szkoła dla kandydatek na krawcowe? Jak dostała się po bombardowaniach do rodziny w Wielkopolsce? Wiem z rodzinnych opowieści, że byli majątną rodziną w przedwojennej Warszawie. Pradziadek miał w stolicy sklep (jaki?). Dlaczego tuż przed wojną sprzedali (lukratywny? przynoszący straty?) biznes i przenieśli się na wieś, zostawiając siedemnastoletnią córkę samą, w obliczu zbliżającej się wojny?

Po udarze babcia leżała przez sześć tygodni w wielkim łóżu małżeńskim w sypialni, pod grubą pierzyną wypchaną gęsiami piórami. Puch wychodził poprzez szwy i drażnił skórę. Nie lubiłam tam spać. Było gorąco, skóra swędziała niemiłosiernie, odgłosy przejeżdżających pojazdów za oknem wybudzały mnie ze snu. Gęsi puch pochodził od własnych zwierząt z zagrody, a poszewka była własnoręcznie utkana przez Wiktorię. Samowystarczalność babci i dziadka zawsze mnie zaskakiwała. Jedli jabłka i gruszki z własnego ogrodu, na obiad były ziemniaki wyhodowane przez dziadka Józefa. Do tego obowiązkowo zsiadłe mleko i biały ser, od krowy z obory po drugiej stronie ulicy. Pamiętam mokrą breję w siatce, wodę kapiącą do miski; kurczaki w korytarzu, w kartonie pod jasną lampą; pierzynę wietrzącą się na konarze starej antonówki. Na łóżu śmierci Wiktoria leżała pod tą samą pierzyną z gęsiego puchu. Chciała coś przekazać. Nie zdążyła.

W Zaduszki chodziliśmy na stary, poniemiecki cmentarz w lesie za leśniczówką. Prowadząca do niego droga z kocich łbów była wyboista i pełna dziur. Ostrowskie, polskie groby stanowiły niewielki fragment nekropolii. Jedyne w pierwszych latach po drugiej wojnie chowano zmarłych we wsi, głównie dzieci. Wysokie topole i sosny zdawały się drapać niebo, wspierając się na kamiennych nagrobkach z literami wrytymi w starogermańskim dialekcie. Sprzątaliśmy grób Januszka i zapalaliśmy na nim znicze. Z białych grudek śnieguliczki układaliśmy obwódkę dookoła nagrobka oraz krzyżyk na środku wilgotnego mchu. Grób Januszka wyglądał jak mogiła małego aniołka. Był on naszym małym, niewidocznym przyjacielem. Urodził się martwy. Januszek był pierwszym dzieckiem Wiktorii. Dopiero gdy sama zostałam matką, zrozumiałam, jak wiele babcia musiała cierpieć. Jednak ona nie skarżyła się nigdy.

Portret małżeński nad łóżkiem. Stary, kaflowy piec w kolorze zielonym. Pralnia na podwórku, a w niej metalowa balia pełna pajaków. Poduszki o wzorze w kwiaty, zrobione na szydełku. Stara, brązowa sukienka mojej mamy, przerobiona na poszewkę.

Obraz babci jest pofragmentowany. Wspomnienia i przedmioty mieszają się, jak mąka i woda, z których Wiktoria zagniała chleb. Fakty istotne przeplatają się z nieistotnymi drobiazgami, tajemnice – ze słodkim smakiem agrestu. Schody na poddasze w babcinym domu, gdzie nie wolno mi było wchodzić. Sekret pozostał gdzieś tam, na górze. Tu, na ziemi, pozostały jedynie dociekania i żal, że bez namysłu zjadłam porzeczkę, zamiast szukać klucza, który otworzyłby umysł Wiktorii na dłuższe opowieści o jej pochodzeniu.

*Tekst ten dedykuję ś.p. Wiktorii – z nadzieją, że gdzieś tam, na górze, skarpetkowo-wspomnieniowy kolaż zostanie przeczytany z uśmiechem na twarzy i przymrużeniem oka, wybaczącym niedoskonałość pamięci.*



---

## Nagość, procenty i wolność

Farid siedział na murku i się śmiał. Ogarniała go nieskończona radość. Naprzeciw niego w bezpiecznej odległości stało dwóch panów w ciemnoniebieskich mundurach ze srebrną odznaką. Obserwowali każdy ruch ręki Farida i każde mrugnięcie powieki jego ciemnobrażowego oka. On jednak nie zwracał na nich uwagi. Policjanci nie przeszkadzali mu w kontemplacji tej chwili wolności. Zimny, październikowy wiatr zawiął z południowego wschodu, powodując gęsią skórę na jego ciele. Drobnymi mięśniami w aparacie przywłosowym próbowały przywrócić nagości jego ciała ochłap ludzkiej godności. Farid siedział niezmiennie na murze z czerwonej cegły, z jedną nogą uniesioną z prawego boku, a drugą spoczywającą na chłodnej ziemi. Pomiędzy nogami swobodnie zwisał obnażony powód interwencji dwóch panów w mundurach, którzy bacznie obserwowali „podejrzanego o zakłócenie spokoju w ośrodku dla uchodźców w Hardenberg”, jak donosiła notatka policyjna.

Dobry humor Farida rozpoczął się parę minut po dwunastej w południe. Współtowarzysz padołu łez, kamerad dzielący z nim pokój w ośrodku, przyniósł dwie butelki napoju czterdziestoprocentowego, o smaku znanym większości nastolatków. Postawił je na stole w ich ciasnym pomieszczeniu o rozmiarach dwa na dwa metry i spojrzał pytająco na współlokatora. Farid na początku się wahał. Ciecz zawarta w butelce była znana na całym świecie z indukowania zazwyczaj większych lub sporadycznie mniejszych problemów. Od kiedy Farid poznał (w wieku około piętnastu lat) znieczulający efekt alkoholu, używał go do wyłączenia swojej podświadomości i neutralizacji bólu. Mniej więcej w tym samym czasie odkrył, że nie będzie w stanie ożenić się, gdy przyjdzie na to czas. Wtedy uświadomił sobie, że – wbrew zwyczajom panującym w Algierii – nie będzie w stanie żyć z kobietą, którą wybrała mu matka. Siedząc na murku, zastanawiał się nad tym okresem, nad pierwszą świadomą myślą o sobie jako o osobie homoseksualnej.

– Tak, homoseksualnej! – wyrażał głośno swoje myśli.

Jego dusza czuła się wolna. Lekki dreszcz na nagim ciele, brązowe włosy rozwiane holenderskim wiatrem – namacalne poczucie wolności.

– Wolność! – krzyczał. Policjant z prawej strony uważnie przyglądał się każdemu ruchowi jego warg.

– Jestem homoseksualistą!

Wcześniej tego dnia, koło godziny piętnastej, po opróżnieniu obu butelek, kamerad opuścił ich izbę niczym konik polny, uciekający przed dziobem sroki. Farid, znudzony siedzeniem w ciasnym pokoju, postanowił wyjść przed budynek. Ogarnęła go szaleńcza myśl, by się rozebrać. Przebywał w Holandii od dwóch tygodni, niewiele wiedział

o zwyczajach panujących w tym kraju, ale przecież każde dziecko wie, że to kraj *gay pride*, tolerancji i wolności.

– Wolność! – krzyczał dalej. Poczul się dumny z tego, kim jest i jakim się urodził. Poczul dumę, że po tylu latach udało mu się uciec z duszącej jego *ego* kultury, z kraju, który nie pozwalał mu być sobą, takim, jakim się urodził. Teraz nie musiał niczego udawać ani niczego zmieniać. Przez lata pił, by zapomnieć o niezmiennym. Pił, by ukryć ból konsekwencji swojej orientacji seksualnej. Pił, by złagodzić łyżę po słowach matki, że homoseksualizm to grzech. Dzisiaj Farid pił, by świętować swoją wolność. Wolność od totalitaryzmu umysłu, od krępującego sznura zasad społecznych oraz ostatecznie wolność od krępującej ciała odzieży. Po krótkim spacerze w ogrodzie ośrodka usiadł na murku i zaczął się rozbierać. Ściągnął najpierw kurtkę, potem brązowy, dziergany sweter z darów, w końcu koszulkę z secondhandu. Zrobiło się wokół niego zbiegowisko, dzieci pokazywały go palcami, ktoś zadzwonił po policję. Farid, ośmielony publicznością, kontynuował. Ściągnął sportowe buty. Powoli rozpiął guziki dzinsowych spodni, upewniwszy się, że wszyscy patrzą. Ściągnął skarpetki. Kiedy sięgnął ręką w kierunku gumki od bielizny męskiej, typ bokserki w niebieską kratkę, dostrzegł radiowóz policyjny, wjeżdżający przez bramę ośrodka. To nie robiło różnicy. Wolność, raz posmakowana, była bezcenna.

Akceptacja bycia, jakim się urodziło, nie mogła zostać odebrana aktem zamknięcia w zimnej celi. Farid wiedział, że to uczucie potrwa krótko. W pierwszym tygodniu procedury azylowej dano mu do zrozumienia, że pochodzi z tak zwanego „bezpiecznego kraju”. Wiele osób z Algierii podaje homoseksualizm za rzekomy powód ucieczki, a nikt w holenderskich służbach imigracyjnych w tę bajkę nie wierzy. Farid wiedział, że za parę tygodni urzędnik wręczy mu bilet powrotny do rodzinnego piekła, gdzie konieczność udawania bycia „normalnym” wpędziła go w alkoholizm. Siedział na czerwonym murku, jak tamburmajor orkiestry ze swoją buławą, celowo demonstrując swą nagą męskość, pałając się tym ostatnim oddechem wolności. Wreszcie był sobą, zauważony i widoczny, bez ubrań, bez zbędnych warstw ukrywających jego prawdziwe ja.

---

## Dentysta, który w pośpiechu zapomniał szczoteczki

– Wybatję, czy mijsce wolne? – pytanie wyrwało mnie z podróżniczej zawieruchy. Zajęta pakowaniem bagażu na półkę, a potem rozpakowywaniem kanapek, podnoszeniem z przedziałowej podłogi butelki z wodą, która śmiała wymknąć się ciasnym pasom mającym na celu jej unieruchomienie w małej kieszeni czerwonego plecaka, nie zauważyłam mężczyzny stojącego koło mojej córki. Spojrzałam na niego dopiero, gdy otworzył drzwi przedziału. Jego białe zęby, kontrastujące z ciemną karnacją, układały się w wielki uśmiech, który natychmiast zdobył przychylność mojej pięcioletniej pociechy. Gestem wskazałam miejsce przy oknie i przepuściłam go w głąb przedziału. Mężczyzna zrobił krok do przodu i po jego nagłych ruchach poznałam, że uśmiech zdobiący jego lico był tylko przykrywką dla lęku, dręczącego jego ciało.

Kiedy wkładał swój plecak na półkę bagażową, dostrzegłam przyczepioną do jego plecaka ukraińską flagę. Usiadł na siedzeniu pod oknem, a gestami i kolejnym uśmiechem jeszcze bardziej zaskarbił sobie sympatię mojej córki. Wyczarowywał z dłoni zwierzęta, układając je w taki sposób, że kciuk nagle stawał się trąbą słonia lub uchem pawiana. Wesoly śmiech rozlegał się po przedziale, a białe zęby naszego towarzysza, wspomagane ruchami języka, sprawiały, że zwierzęta zdawały się ożywać, zanimizowane dźwiękową inscenizacją. Nasz gość najwyraźniej lubił zabawę z dziećmi. Po paru minutach powiedział mieszaniną ukraińskiego i angielskiego, że cieszy się, bo już niedługo zobaczy swoich siostrzeńców. Nie był żonaty, czego bardzo żałował. Popisywał się coraz to innymi zwierzęcopodobnymi formami dłoni, a w międzyczasie nerwowo spoglądał na telefon i odpowiadał na liczne wiadomości.

– Dokąd pan jedzie? – w końcu odważyłam się zapytać naszego towarzysza, który właśnie splatał palce dłoni w kształt żyrafy.

– Do Nigerii. Do domu – odparł, natychmiast dodając: – modlitwy mojej matki zostały wysłuchane. Teraz wrócę do domu, osiedlę się i ożenię.

Nagle żyrafa ożyła. Moja córka wybuchła śmiechem. Po chwili twórca żyrafy opowiedział, jak przed trzema dniami w ciągu dziesięciu minut zdecydował się opuścić swoje kijowskie mieszkanie, w którym spędził ostatnie dziesięć lat życia po studiach. Był to czwarty dzień walk na Ukrainie. Po nocnym dyżurze w klinice stomatologii dziecięcej wrócił do domu, padł zmęczony na łóżko i natychmiast zasnął, po czym, wybudzony odgłosem wybuchów spadających bomb, spakował najpotrzebniejsze rzeczy i pobiegł na dworzec, skąd odjechał pierwszym pociągiem jadącym w kierunku Polski.

Na dźwięk słowa *dentist* rezolutna pięciolatka sięgnęła po swój plecak i po paru minutach dumnie zaprezentowała swoją niebieską szczoteczkę do zębów. Nasz towarzysz podróży roześmiał się. Po ukraińsku, wspomaganym angielskim, zapytał, czy wie, jak poprawnie umyć zęby. Dentysta rozpoczął poszukiwania swojej szczoteczki. Jego bagaż był niewielki i pakowany w pośpiechu. Wyrzucił z plecaka telefon i ładowarkę, zeszyt w kratkę i plik wizytówek. Szybkim ruchem przesuwał ręką wewnątrz bagażu. Nadaremnie. Najwidoczniej zapomniał swojej szczoteczki do zębów. W tym momencie uśmiech-maską zniknął z jego twarzy, a jego mimika na krótką chwilę korespondowała z przygnębionym językiem ciała.

Był to jednak krótki moment. Po chwili wyciągnął z plecaka długopis i rozpoczął prezentację mycia zębów, używając pisadła jako szczoteczki. Dziecko drobnymi ruchami małej ręki próbowało naśladować zdecydowane ruchy stomatologa, który w międzyczasie opowiadał mi po angielsku, jak jego rodzice wysłali go na studia do Europy, a on zawiódł ich oczekiwania i po studiach na długo pozostał na Ukrainie, nieskory do ożenku.

– Najwyraźniej siła wyższa wysłuchała ich modły, gdyż za sześć godzin z Berlina odlatuje samolot, który zawiezie mnie do domu.

– Do domu – powtórzył. – Będę uchodzącą we własnym, rodzinnym domu.

Usiadł na swoim miejscu przy oknie. Wpatrywał się w dal, w mijane stacje kolejowe, pola, europejskie lasy. W szybie odbijało się jego odbicie. Podkrążone oczy, zmarszczki na czole, wyryte ciężką nocną pracą w Kijowie. Wpatrywał się w mijane krajobrazy, starając się utrwalić europejskie wspomnienia: życie, które przeminęło, przekreślone wybuchem wojny. Wspomnienia studiów, smak ukraińskiej wódki, złotowłosych kobiet o długich nogach; obrazy migwały w pamięci niczym brzozy i słupy wysokiego napięcia za oknem na trasie Poznań Główny–Berlin Hauptbahnhof. Stracił swoją klinikę, źródło dochodu i dumy, pozycję i przyjaciół. Teraz już był dentystą bez pacjentów, bez narzędzi, a nawet bez szczoteczki do zębów, zbliżającym się do rodzinnego domu, który miał teraz stać się miejscem jego uchodźstwa. Rodzinny dom w nigeryjskiej wiosce, z której uciekł wiele lat temu, głodny światowego życia.

„I’m home, safe” – przeczytałam wiadomość w telefonie tego samego dnia wieczorem. Koło życia, koło przeznaczenia wróciło do punktu wyjścia. Cykl, jaki pokonuje koło pociągu, stukające rytmicznie o tory, jak kolisty ruchy szczoteczki wokół siekaczy, powtarza się nieustannie, jak okres wojen i pokoju, snu i czuwania, tęsknoty i bliskości. „Jestem uchodzącą w rodzinnym domu” – echo jego słów długo krążyło po moim umyśle, gdy po wieczornym, rutynowym myciu zębów układałam moją córkę do snu.

„Co dał los, to i bierze”.  
( przysłowie polskie )

---

## Tam trzy mercedesy, tu trzy rowery

Uśmiechnięty pan koło sześćdziesiątki spogląda na mnie z drugiej strony biurka. Szybka z pleksiglasu oddziela nasze twarze, oboje mamy maseczki zakrywające usta i nos. Są to dodatkowe bariery utrudniające komunikację. Mówimy w innych językach, należymy do różnych kultur, mamy inny bagaż doświadczeń, a teraz dodatkowo pięciowarstwowa maseczka i przyłbica utrudniają porozumiewanie.

– Proszę pochylić głowę do tyłu. Pobiorę wymaz z nosa oraz z gardła. Jest to nieprzyjemnie, ale trwa tylko chwilę – instruuje pacjenta.

Telefoniczny tłumacz przekłada moje słowa na język arabski. Pan koło sześćdziesiątki uśmiecha się i posłusznie odchyła głowę. Pobieram wymaz.

Znamy się od dwóch lat, od kiedy wyjechał z Syrii i przyjechał do Holandii, pozostawiając za sobą wszystko: dostojne życie ortopedy, dom na przedmieściach Damaszku, dwa mieszkania w stolicy, starannie wypracowaną pozycję, nazwisko i szacunek. Po przyjeździe do Niderlandów był kolejnym panem „al-”. Arabskie nazwiska, zaczynające się od tego przymyka, oznaczają „człowiek z”. Jego nazwisko, al-N., oznacza pochodzenie przodków z miejscowości N. Mój pacjent wyjechał z Syrii jako specjalista, a do Niderlandów przyjechał jako nikt. Z pokorą przyjmował kolejne poniżenie: piętrowe łóżko w wieloosobowym pokoju dzielonym z obcymi ludźmi, kolejki po jedzenie, pomyłki w swoim nazwisku na oficjalnych dokumentach, potwierdzających tożsamość. Nigdy nie słyszałam słowa narzekania z jego ust. Aż do teraz.

Po pobraniu wymazu pacjent krzywi się, mówi pośpiesznie po arabsku, wprawnym ruchem ubiera niebieską maseczkę chirurgiczną na usta. Po chwili odzywa się telefoniczny tłumacz:

– Proszę mi wybaczyć, ale to było okropne. Przeżyłem wojnę, ataki snajperów, szpital, w którym pracowałem, został zbombardowany w trakcie operacji przekrętarzowego złamania stawu biodrowego prawego. Gruz leciał prosto do rany operacyjnej, a my z przerażeniem czekaliśmy, czy generator przywróci prąd do respiratora. W czasie wojny człowiek działał jak robot, na adrenalinie i na automatycznym pilocie. A teraz, w wolnym kraju, człowiek się spodziewa, że nawet pobranie wymazu z nosogardzieli będzie przyjemnym doznaniem. To było okropne doświadczenie!

Uśmiechnęłam się pod maseczką i odpowiedziałam:

– Zdecydowanie, test PCR na koronawirusa nie należy do najprzyjemniejszych. Jak wygląda życie w czasie pandemii w Syrii? Ma pan jeszcze kontakt z rodziną, która tam została?

– Wszyscy znajomi wyjechali w przeciągu ostatnich dwóch lat. Syn mieszka w Szwecji. Córka z rodziną w Libanie. Moja siostra – w Niemczech. Nam trafiła się Holandia. A wracając do pani pytania, jak wygląda sytuacja z koronawirusem w Syrii – sędzę, że przypadków jest ponad milion. Nikt niczego nie bada. Rząd pudruje oficjalne statystyki.

Pomyślałam o katastrofie w Czarnobyliu: w 1986 roku nikt w Związku Radzieckim nie informował cywilów, co się stało, dopóki szwedzcy naukowcy nie wykryli nadzwyczajnej dawki promieniowania radioaktywnego. Anno 2020 informacja w przeciągu sekundy obiega świat, świadomość społeczeństwa jest większa, brakuje jedynie oficjalnych statystyk.

– Czy chciałby pan kiedyś wrócić? Do Damaszku, do Syrii? – pytam, zaciekawiona.

– Proszę mnie nie zrozumieć źle; oczywiście, że tęsknię za rodzinnymi stronami, przepelnionymi ulicami Damaszku, gwarą rodzinnego dialektu – przepraszam, panie tłumaczu, wiem, że pochodzi pan z Iraku, ale dialekt syryjski jest jak muzyka dla moich uszu. Mimo wszystko – nie, nie chciałbym wrócić. W Syrii miałem trzy mercedesy, tutaj trzy rowery, lecz nie chcę wracać do życia w reżimie. Wolność nie zna ceny, nie ma kompensacji materialnej. Tylko tutaj jestem prawdziwie wolny. Przepraszam za tak długi wywód. Pani doktor zapewne się śpieszy. Lekarze na całym świecie zawsze się śpieszą – odpowiedział pacjent, najwyraźniej puszczając w niepamięć nieprzyjemne wrażenia z pobrania wymazu z nosogardzieli.

– Czy tęskni pan za swoją pracą? – dodałam, spoglądając na zegarek.

Tak, lekarze na całym świecie zawsze się śpieszą.

– Proszę spojrzeć na moje ręce – pacjent odpowiedział i podwinął rękawy, ukazując przedramiona.

Dłonie, nadgarstki i przyśrodkowa część obu przedramion były pełne blizn i przykurczy. Rany były różnorakie: podłużne, równe, jak gdyby zadane skalpelem, który przez drżenie ręki wymuskał się z pola operacyjnego; nierówne, tworzące ogromne blizny, robiące wrażenie zabliznionych ran oparzeniowych. Pacjent kontynuował:

– Wojna pozostawia widoczny odcisk na ciele. Taki sam, lecz ukryty dla oczu, pozostawia w duszy. Te ręce nigdy już nie będą operowały. Nie mogą nawet utrzymać długopisu. Wojna pozbawiła mnie nie tylko domu, lecz także mojej tożsamości.

Stałam chwilę w milczeniu, przyglądając się bliznom. Pan al-N. kontynuował:

– Mam już ponad sześćdziesiąt lat. To i tak był najwyższy czas, by zacząć się ruszać i jeździć na rowerze. Kiedy będzie wynik?

– Zadzwoń jutro, do tej pory proszę badać temperaturę dwa razy dziennie i nie wychodzić z pokoju – odpowiedziałam, pakując pobrany wymaz do plastikowej torebki z logo CERTE, pobliskiego laboratorium.

Pacjent wyszedł kierując się do głównego budynku ośrodka dla uchodźców w As-sen. Spojrzałam za okno: jego żona i córka czekały w maseczkach pod przychodnią.

Cała trójka wsiadła na rowery. Stałam chwilę i przez okno przypatrywałam się ich sylwetkom. Dwa lata temu zapewne były to luksusowe mercedesy z kierowcami, jadące w kierunku poddamasceńskiej posiadłości. Rodzina nagle się zatrzymała, żona pana al-N. zsiadła z roweru i z czułością poprawiła mężowi maseczkę na twarzy. Wyglądali na szczęśliwych.

*„Człowiek nie jest bogaty tym, co posiada, lecz tym, bez czego z godnością może się obejść”.*  
**(Immanuel Kant)**

---

---

## Mozaika

Wracając do samochodu, spoglądałam na wielopiętrowe kondygnacje ośrodka dla uchodźców w Assen, zaprojektowanego jako biurowiec, a teraz zamienionego w swoisty akademik, pełen miniaturowych mieszkań. Fasadę budynku, od strony parkingu, stanowiły teraz miniaturowe mozaiki w oknach: wypchanych kolorowych reklamówek, kartonów, plecaków. Był to dorobek życia mieszkańców: skrupulatnie upakowany na parapetach, tymczasowe życie wciśnięte w jednorazowe reklamówki z Lidl. Podziwiałam wystawę. Przedmioty na parapecie przypominały obrazy w niebieskich ramach. Okna tego budynku, starego biurowca z lat siedemdziesiątych, zostały trzy lata temu odnowione i pomalowane na chabrowy kolor.

Minęłam frontowe skrzydło budynku i spoglądałam na kolejne plastikowe sklepowe torby w biało-niebieskie paski, stare pluszaki z naderwanym uchem, używane buty do joggingu, sztuczne plastikowe chryzantemy. Gdzieś dojrzałam świeże zioła, hodowane w pudełkach po greckim jogurcie, tym z dziesięcioprocentową zawartością tłuszczu, którego Holendrzy zazwyczaj unikają. Przedmioty cierpliwie czekały ściśnięte na parapecie na przeprowadzkę do większego lokum. Jak i ich właściciele, tak i one żyły próżną wiarą obietnicy lepszego „bukra” (po arabsku: jutro). Okres oczekiwania na decyzję azylową wydłużył się do półtora roku, a dociekliwi, którzy dopytywali, kiedy nadejdzie niebieska koperta od służb imigracyjnych, ciągle słyszeli w odpowiedzi jedno: „być może jutro, bukra”.

Oczekiwanie na bukra, dzień, w którym mogła nadejść upragniona decyzja, wypełniała szarość dni w ośrodku. Wracając tego dnia do domu, zastanawiałam się, jak niewiele, a jednocześnie jakże sporo się zmieniło w ostatnich latach mojej pracy w tutejszej przychodni. Niewiele, bo uchodźcy nadal przybywali i czekali, wciąż umieszczając swoje tobołki na parapetach okiennych. Torby te jednak nieustannie zmieniały swoje położenie, wędrowały zza jednej szyby za drugą, podążając za ciągle przemieszczanym właścicielem. Mozaika zmieniała się każdego dnia, podlegając nieustannej rearanżacji i ewolucji. Sam ośrodek również podlegał nieustannym metamorfozom, a patio budynku zostało zamienione przez jego mieszkańców w niewielki ogród, przekształcając stary biurowiec w namiastkę kolektywnego domu.

Nie miałam wątpliwości, że i dla mnie ten okres był tylko fazą, która kiedyś miała się skończyć – tak jak pobyt w tym haniebnym miejscu był dla jej mieszkańców jedynie okresem oczekiwania na lepsze bukra. Wiedziałam, że pewnego dnia opuszczę to miejsce, nie mogąc dłużej przyglądać się temu lapidarium nędzy i nieszczęścia. Niedoli, która jednocześnie była tragiczna i zapierała dech – wytrwałością ludzi poddanych próbie losu. Z jednej strony chciałabym od tej nędzy uciec, a jednak nadal każdego dnia, idąc do przychodni, mijałam te same – lecz jednocześnie ciągle inne elementy



układanki. Na każdym piętrze, w każdym oknie znajdował się niepowtarzalny puzzel, skrupulatnie ułożony niczym klocki w tetrisie. Przedmioty za szybą sprawiały, że materializm otaczającego świata, reklamy na przystanku autobusowym przed ośrodkiem i zamożność otaczających ośrodek domów były jak cierń w oku.

Stały bywalec przychodni, pięćdziesięcioletni pan Ali, którego poznałam jeszcze jako witalnego czterdziestosiedmiolatka, stał na parkingu, paląc papierosa. Przygarbiony, posiwiały, ugięty pod ciężarem losu w niczym nie przypominał człowieka, którego poznałam, gdy przybył do Niderlandów z Iraku pięć lat temu. Ośrodkowe plotki głosiły, że był niegdyś cinkciarzem, człowiekiem z półświatka. W Bagdadzie nad takimi osobami wisiła kara śmierci. Dlatego pan Ali odwoływał się od piątej negatywnej decyzji holenderskich służb imigracyjnych i po sześciu latach był jedyną osobą, której zaokienna mozaika nigdy nie zmieniła miejsca. Ulokowałam moją czerwoną torbę lekarską w bagażniku samochodu, uśmiechnęłam się i powiedziałam do niego po angielsku:

– Dzień dobry, panie Ali.

– Dzień, ale czy dobry? – odpowiedział, wyrzucając peta w krzaki. Właśnie zaczynało padać. Skierował się w kierunku budynku i dodał niby sam do siebie, lecz jednak kierował te słowa do mnie, gdyż zapytał po angielsku:

– Kiedy wreszcie będzie dobry dzień?

– Kto wie, być może jutro – odpowiedziałam, wsiadając do samochodu.

– Bukra? – usłyszałam cichy głos pana Alego, który znajdował się dwadzieścia metrów od parkingu.

– Bukra – mruknęłam pod nosem, włączając silnik. Pewnego „jutra”, gdy pan Ali wreszcie dostanie pozwolenie na pobyt i jego mozaika zniknie ze znajomego okna, sądzę, iż mój okres pracy w ośrodku również się zakończy. W ten sposób dziele z pacjentami to oczekiwanie, tę fazę przejściową, tymczasowość rzeczy drobnych i przejściowość uporczywych dolegliwości, które zazwyczaj bez żadnego leczenia przemijają, zanim nastąpi „bukra”.

---

## Czarnoziem

Józef kochał rolę: zapach ziemi, jej uwieranie pod paznokciami, wąsate łany jęczmienia chciwie wyciągające szyję ku słońcu. Te same grudy czarnoziemu przechodziły przez palce jego ojca, dziada i pradziada – niczym czas w klepsydrze, który przeminął. Potem on, dziewiętnastoletni, zaprzęgał kasztanowego Karego do rdzewiejącego pługa i poganiał go, by zdążyli zaorać pole przed jesienną burzą. Worek z ozimą pszenicą czekał na wozie pod rozłożystą wiśnią, która w czerwcu rodziła słodkie owoce. Smak pleszewskich wiśni przypominał mu się pięć lat później, gdy skulony w kącie mannheimskiej fabryki Motoren-Werke drżał przed alianckimi bombami.

Fabryka w Mannheim, według wywiadu brytyjskiego, produkowała broń na potrzeby marynarki Wehrmachtu i stała się od czterdziestego roku celem alianckich bombardowań. Pojmani do przymusowej pracy Polacy, Węgrzy i Holendrzy po miesiącach spędzonych o chlebie i wodzie powitali bomby, jak szansę na wolność. Józef nawiązał tam młodzieńcze znajomości i, nauczywszy się podstaw niemieckiego, rozwijał swoje umiejętności handlu zamiennego. Wiedział, gdzie można zamienić część przydzielonego chleba na papierosy, a gdzie można zdobyć całkiem przyzwoitą marmoladę, lecz wspomnienie dżemu z pleszewskich wiśni było, jak pieczęć wyryta w jego pamięci, która wzywała do powrotu. Bombardowania z marca czterdziestego piątego roku sprawiły, że dosiadł swój paraliżujący lęk i opuścił płonąca fabrykę. Ponoć zrzucono na nią zakazane bomby, takie całkowicie zrównujące budynki z ziemią. Lęk – który był jak dziki koń na mongolskich stepach – potęgował pragnienie powrotu do domu.

W nocy z drugiego na trzeciego marca 1945 roku pracowników przymusowych, zwanych z niemieckiego „Zwangsarbeiterami”, zbudziła kolejna salwa wybuchów z niedalekiej fabryki. Zerwali się na równe nogi. Niemiecki strażnik poganiał robotników z baraków do gaszenia ognia. Józef, dostrzegłszy żar unoszący się nad Motoren-Werke, przerzucił przez ramię płócienną torbę, jedyną, którą miał. Szybkim krokiem oddalił się w kierunku miasta. Prędko zawrócił, dojrzawszy płomienie unoszące się nad centrum. Operacja Abigail, o której usłyszał wiele lat po wojnie, stała za zrzuceniem setek bomb ze stu trzydziestu czterech bombowców w ciągu jednej nocy. Kierując się instynktem, ciągnącym go na wschód, do Pleszewa, Józef godzinami wędrował przemarznięty wzdłuż torów, aż napotkał opuszczony tabor kolejowy.

We wnętrzu towarowych wagonów roilo się od uciekinierów z bombardowanego miasta. W pośpiechu próbował odnaleźć znajome twarze, lecz wymęczony długą, pieszą drogą skulił się w kącie wagonu i zasnął. Parę godzin później obudziło go zim-

no. Wilgotny wiatr zawiewał poprzez deski wagonu. Józef wstał i dostrzegł w oddali Jenö, węgierskiego towarzysza niedoli, którego nazywał z polskiego Jano. Padli sobie w ramiona i wzajemnie próbowali utrzymać się przy życiu, dzieląc kolejną wojenną niedolę. Po dwudziestu godzinach tabor kolejowy dotarł do Berlina, gdzie przyjaciele pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę, by nie zobaczyć się już nigdy więcej.

Jak wracać? Dokąd? Do czego? Niewidzialna siła ciągnęła Józefa do prostych, wielkopolskich domostw. Koniec wojny wisiał w powietrzu. Józef wzdychał do obrazów wyrytych w pamięci, do łąków zboża tańczących od powiewu letniego wiatru, do bólu spalonej skóry po produktywnym dniu pracy na roli, do urodzajnej ziemi, która w podzięcie za pracę rąk daje mąkę na chleb. Wiedziony intuicją Józef powrócił w rodzinne strony, ukrywając się w kolejnych wagonach i przedzierając się przez lasy otwierające oczy po zimowym śnie. Drobne gałązki budziły się do życia, wypuszczając młode pędy. Gdzieś widać było kupę śniegu pokrywającą krzewy jeżyn. Odwilż oczarowywała naturę zaklętą zimowym czarem, grając ostrożnie pierwsze nuty wesołej pieśni, razem ze zmęczoną wojną Europą. Pleszewski czarnoziem powoli odtajał, leżał odłogiem i wzywał do siebie ręce, którym nagniotki i zgrubienia od drewnianej motyki były niestraszone, a których właściciel nie ugiąłby się pod wpływem litrów potu, lejącego się z czoła. Józef spojrział na swoje poranione jeżynami ręce, z których dopiero co zszedł penetrujący zapach oleju silnikowego; te same ręce, które niegdyś ścisnęły żyzną grudę ziemi.

Powrót Józefa do Polski był słodko-gorzki. Wiśnia pleszewska zgniła w czasie wojny. Rozległe pola pokrywała warstwa krzewów i młodych topol. Część rodziny zginęła na wojnie, po innych słuch zaginął. Józef zdał sobie sprawę, że nigdy już nie osiądzie Karego jak przed wojną, że te pola skażone są krwią wspomnień, jak i on – naznaczone wojennym losem. Co gorsza, ludowe wojsko polskie wcieliło go do armii i kazało strzelać do partyzantów w lesie. Strzelać do swoich? Tego już było za wiele. Najpierw wojska alianckie bombardowały fabrykę, z której ledwo uszedł z życiem, a teraz to on miał strzelać do chłopaków w lesie. Może był lekko skażony pourazowym lękiem, ale rozum działał bez zarzutu. Dezercja, trudne słowo, którego znaczenie poznał dopiero po latach z ust sędziego; słowo, którego wcielenie w życie sprawiło, że młody Józef znów utracił swą wolność.

Po latach Wiktoria opowiadała, jak jej było żal chłopca, który w więzieniu siedział. Kiedy powróciła z przymusowej pracy w fabryce torfu, posiłkując się przepustką na pogrzeb matki, trudno było jej odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Była młoda, marzyła o domu z okiennicami i ogrodem, o gromadce dzieci zrywających dla niej bukiet stokrotek i maków. Brakowało tylko odpowiedniego kandydata na męża. Miłość zrodziła się ze współczucia. Józef po wyjściu z więzienia marzył o kupnie konia i zobaczeniu na własne oczy poniemieckich wiosek, gdzie ponoć ziemia była żyzniejsza od tej pleszewskiej, a leżała odłogiem. Kazimierz, kuzyn Józefa, jako pierwszy wybrał się

na zachód i opowiadał o wielkich, pustych domach, szerokich alejach i pagórkach, pełnych pól gotowych do obrobienia. Po tygodniach wahań Józef zabrał świeżo poślubioną Wiktorię i pociągiem wyruszył w nieznaną, w pogoni za ziemią urodzajną, dającą słodki plon.

Po przeprowadzce na Ziemię Odzyskane ręcznie uprawiał rolę. Po paru latach kupił konia, którego nazwał Baśka. Była to kara klacz z długą grzywą, która sama znajdowała drogę do jego ostrowskiego domu, gdy Józef usnął na wozie uraczony piwem. Drogę z przędzalni w Ośnie Lubuskim Baśka pokonywała wiele razy i zadowolona galopowała z powrotem do swojej zagrody przy ostrowskiej drodze, szczęśliwa, że ładunek lnu nie obciąża jej pleców. Z czasem Józef dorobił się dostojnego ciągnika marki Ursus. Gdy starość przygięła plecy ku ziemi, Józef poruszał się o lasce z powodu krzywo zrosniętego kolana. Poganiał wnuków zbierających kartofle i ciemnobrązową laską odgarniał lebiodę, by młodzież sprawniej wybierała bulwy spomiędzy ziemniaczanych pędów wykopanych automatyczną koparką. Okres zniw i wykopków należał do jego ulubionych.

Piwem nie gardził, alkohol pomagał zapomnieć powracające w snach wybuchy z mannheimskiej fabryki. Czasem drobne skrobanie małej myszy na poddaszu wystraszyło go i zdawało mu się, że znów ma dwadzieścia trzy lata. Dostawał wtedy gęszej skórki, jak gdyby znów siedział w towarowym wagonie do Berlina mknącym przez pełny śniegu krajobraz. Kiedy wypił piwo, strach mijał i nawet niezadowolona mina Wiktorii nie powstrzymywała go przed sięganiem po tę formę autometryki. Kiedy pewnego dnia Józef usnął na wozie, wracając z przędzalni, Baśka pomknęła zbyt szybko przez kocie łby, łączące Ośno z Ostrowem, i woźnica wylądował pod wozem, lewą ręką na kamieniu. Kolano było złamane. Pół godziny później zręczna dłoń chirurga zagipsowała wypadek. Baśka dowiozła Józefa do domu. Opierając się na gipsowym opatrunku, Józef pokuśtykał do pralni i kilkoma uderzeniami młotka pozbawił się uciążliwego gipsu, zanim Wiktorii zorientowała się, co się stało. Od tej pory Józef utykał, lecz – mimo to – kontynuował pracę na roli.

Józef dożył dziewięćdziesięciu sześciu lat. Dobre zdrowie częściowo odziedziczył po matce, choć często zastanawiał się, czy wojenne okresy głodu nie przyczyniły się do jego długowieczności. Do końca życia jadł mało, szanował chleb i gdy uzębienie nie pozwoliło mu cieszyć się chrupiącą jego skórką, moczył ją w mętym krupniku. Czekał, aż skórka nasiąknie i do ostatniego okruszka wyjadał zawartość garnka. Ostatnie krople zupy wycierał mięszem pszennej mąki, po czym wkładał je do bezzębnej jamy ustnej. Rondel po krupniku lśnił niczym wypucowany Ludwigiem, a potem wymyty w zmywarce.

Koło migracji: Józef został wywieziony do Niemiec na przymusowe roboty. Niemcy, mieszkający w jego przyszłym domu, po zmianie granic zostali wywiezieni w głąb Republiki Federalnej Niemiec. Dom Józefa i Wiktorii udziela obecnie schronienia dla

rodzin ukraińskich, uciekających przed wojną. Ruch i przemieszczanie jest podstawą życia. Koło historii toczy się. Czas w klepsydrze leci, zupełnie jak niegdyś pleszewski czarnoziem, przechodzący przez Józefa palce.

*Opowiadanie to dedykuję ś.p. dziadkowi Józefowi, od którego, jak podejrzewam, pochodzi rodzinne zamiłowanie do przyrody i prac ogrodowych.*

---

---

## Milczek

Milczek – tak nazywali go współlokatorzy. Milczek był azylowym recydywistą, zaczynał i kończył procedurę już siedem razy. Kiedy osiem miesięcy temu wprowadził się do pokoju Rezy i Rafiego, wzbudzał w nich lęk swoją zgarbioną sylwetką, szerokimi barkami i tatuażem na prawym ramieniu. W Iranie tatuaże były czymś dla ludzi z półświatka, zbrodniarzy po odsiadce, zdobily ciała osób w niewoli narkotykowej, których w całym kraju jest ponad sześć milionów. Zwierzęcym odruchem, wywołanym nieprzyjemnym czuciem trzewnym, przyjaciele przemieścili się w lewy kąt pokoju, z łóżkiem piętrowym pod oknem, zostawiając dla Milczka prawą, ciemną stronę pomieszczenia, gdzie znajdowała się jednoosobowa prycza pokryta sfilcowanym, brązowym kocem, niebieskie krzesło i metalowa szafka. Od pierwszego dnia niewerbalnie ustalili taki podział i trzymali się niego jak reguły, której nikt z nich nie odważył się pogwałcić.

Pewnego dnia Reza rozmawiając z Rafim podczas nieobecności Milczka zdradził przyjacielowi swoje obawy: podejrzewał Milczka o bycie agentem Sawaku, irańskiej służby bezpieczeństwa. Sawak dał im się we znaki, gdy po zmianie wiary na chrześcijańską wyklęła ich własna rodzina i rozbudowany aparat państwowej maszyny zainteresował się dwoma osiemnastolatkami. Przenosili się z miasta do miasta, uciekając przed policją. W końcu zdecydowali się na Europę. Pech chciał, że w ośrodkach dla uchodźców większość stanowią muzułmanie, a mieszkańców lokuje się według kraju pochodzenia, by ułatwić komunikację. Milczek posługiwał się językiem farski, czyli perskim – językiem szachów. Uważnie przysłuchiwał się słowom Rezy i Rafiego. Również i tym razem. Reza urwał zdanie w połowie, gdy z przerażeniem spojrzął na wchodzącego do pomieszczenia Milczka.

– Sawak – powiedział Milczek, ściągając koszulę. Twarz jego była wykrzywiona, jak gdyby samo wypowiedzenie tego słowa sprawiało mu ból. Odwrócił się tyłem do przyjaciół i ukazał im swoje nagie plecy pełne podłużnych, wiecznie czerwonych blizn po rzemieniach, oraz okrągłych, półcentymetrowych małych kraterów z czarnym dnem, najwidoczniej śladów po oparzeniach papierosami; były to częste praktyki stosowane przez Sawak w teherańskich więzieniach. Reza i Rafi zaniemówili, czując ulgę, że poprzez uchodźstwo uchronili swoje członki od takiego losu. Stali i wpatrywali się w pokaleczone ciało współlokatora, niezdolni do wypowiedzenia nawet jednego słowa. Milczek opowiadał im swoją historię. Raz otworzywszy usta, nie mógł ich zamknąć, dopóki nie wylał całej goryczy, która zgromadziła się przez lata w jego wnętrzościach. Po obaleniu szacha Rezy Pahlawiego dołączył do progresywnej grupy, która opowiadała się za ograniczeniem wpływów religijnego przywódcy Chomeiniego. Był rok 1989, dla Rezy i Rafiego stanowiło to daleką historię, której oficjalną

wersję znali ze szkolnych książek, lecz opowiadana szybkim tempem, na jednym oddechu, brzmiała jak pogrzebowe requiem. Milczek nie oszczędził im niczego: opowiadał wszelakie szczegóły więziennych tortur, lokalizację podziemnych lochów, detale ubioru agentów służb bezpieczeństwa, zrelacjonował późniejszy rozwód i utratę kontaktu z dziećmi, które zabrał nowy mąż jego żony – nota bene agent Sawaku, jak gdyby rodzina byłej żony musiała zrekompensować grzechy Milczka w stosunku do Gwardii Rewolucyjnej.

W trakcie wywodu współlokatora przyjaciele odruchowo trzymali krucyfiksy, które oboje nosili na łańcuszkach na szyi. Milczek kontynuował. Opowiadał, jak znalazł się w Turcji, potem w Niemczech, Belgii a następnie Holandii, jak z każdym kolejnym procesem po odmownej decyzji azylowej kontynuował swoją walkę, ukazując blizny na plecach jako świadectwo więziennych udręk. Opowiadał, jak w okresach między procedurami pił i poznawał berlińskie przytułki dla bezdomnych. Kiedy nie miał siły walczyć dalej, skontaktował się z nim syn Reza. Odnowiony kontakt dał mu siłę, lecz dowiedział się o tragicznym losie swoich synów, którzy zostali wyklęci przez rodzinę ich ojczyma, byli poniewierani i bici.

Kiedy Milczek wspomniał o synach, jego oczy zrobiły się szkliste, potem pokryły się mokrą ciecżą, a jego ciało opadło bezwładnie na pryczę z lewej – tej ciemnej – strony pokoju. Reza i Rafi nadal milczeli. Po chwili spojrzeli na siebie, podeszli do Milczka i oboje otulili go ramionami. Od tej pory opiekowali się nim, jak własnym ojcem. Robili zakupy, gotowali dla trojga, funkcjonując niczym adoptowana komórka rodzinna bez matki. Procedury i procesy azylowe nadal trwały, lecz trójka odnalazła małe szczęście, tworząc jednostkę, która wzajemnie się wspierała. Trio, które z różnych stron podparło to pochyłe drzewo, jakim był los uchodźcy na wygnaniu, sprawiając, że – mimo przeciwności losu – rośnie do góry, ku słońcu, zamiast pochylić się ku ziemi pod ciężarem samotności i przeżytych traum.

*„Szczęście nie zależy od warunków zewnętrznych. Zależy ono od warunków wewnętrznych”.*

*(Dale Carnegie)*

---

## Brzezówka

Przebrodzka społeczność nazywała to miejsce Brzezówką, słowem zaczerpniętym ni to z polskiego, ni to z rosyjskiego, ni to z białoruskiego języka. Każdy wiedział, o co chodzi – o las brzozowy, położony w Marikiniszkach, gmina Przebrodzie, powiat Braśław, województwo wileńskie. Po swojemu, od serca nazywali to miejsce na przekór regułom gramatycznym trzech języków, którymi porozumiewała się okoliczna ludność. Na konarach rozłożystych, wiekowych drzew o szarobiałych pniach zamieszkiwały liczne bocianie rodziny. Na starszych brzozach, o pełnej, wysuniętej ku promieniom słońca koronie, dostojnie prezentowały się czarno-białe ptaki, które rokrocznie powracały w to malownicze miejsce. Na młodszych drzewach umiejscowiły się co wiosnę nowożeńcze bocianie pary, ulegając urokowi tej swoistej bociano-brzozowej aglomeracji miejskiej.

Wincenty, trzydziestoletni i nieco zmęczony życiem, dorobiwszy się niewielkiego majątku sprytem i ciężką pracą w nowo powstałej Młodej Polsce, poszukiwał dobrego miejsca do osiedlenia się i założenia rodziny. Jak i bocianie rodziny, szybko uległ urokowi białej, tańczącej w letnim słońcu korze brzóz, rozłożystych koron pełnych zielonych, drobnych liści. Urodzaj lokalnych pól sprzyjał zwielokrotnieniu żabiej, a ta z kolei bocianie populacji. Oczami wyobraźni Wincenty widział liczne potomstwo, bawiące się beztrudnie w cieniu brzozowego lasu, biegające po okolicznych polach w poszukiwaniu świerszczy i koników polnych, pluskające się w strumieniu w letnich, wakacyjnych miesiącach. Wincenty, urodzony tuż po przełomie wieków roku 1902, za młodu chodził do carskiej szkoły i był przekonany, że najważniejsza jest edukacja. Polska edukacja. Dlatego za skrętnie ukrywane w poszewce spranej poduszki rosyjskie złote ruble i świecące polskie złotówki wykupił spory obszar gruntu koło Brzezówki. Następnie postawił na tym terenie solidny, jak na tamte czasy, drewniany dom z trzema izbami. Nie zapomniał odłożyć też sporej sumy na edukację swoich przyszłych latorośli.

Z początku druga wojna zdawała się wielkim łukiem omijać Marikiniszki. Mijał kolejny rok, łany zboża dojrzewały na polach, bociany jesienią opuszczały swe gniazda w Brzezówce, by powrócić do zagajnika wczesną wiosną. Z czasem anonsy Wincentego spotkały się z aprobatą młodszej o dziesięć lat Apolonii, a w drewnianym domu przy brzozówce wreszcie zaczęła tętnić perspektywa gwaru przyszłych małych lokatorów. Coraz częściej do uszu Wincentego dobiegało obco brzmiące słowo „kułak”. Przygotowania do ślubu tak zaaprobowwały jego uwagę, że nie poświęcił dłuższej chwili na przemyślenia. Słowa wieśniaków zatrudnianych do prac rolnych wydawały się przypadkowe.



Jak na rok 1943 ślub Wincentego można uznać za huczny. Zgromadzeni w kościele goście gratulowali młodej parze, z ssaniem w żołądku oczekując weselnej strawy. Kiedy między życzeniami odwiecznego szczęścia i miłości dostrzegli biegnącego drogą znajomego chłopca, a za nim w oddali tłącą się smugę dymu, nowożeńcy wiedzieli, że wojenne echa dotarły do kresowych Marikiniszek. Dom marzeń Wincentego płonął, a razem z nim nadzieja i wiara w zwyczajne, ludzkie dobro sublimowały w szary dym.

Dom przy Brzezówce spłonął doszczętnie. Młoda para smętnymi oczyma wpatrywała się w pogorzelsko. Marzenia, plany, złote ruble na przyszłą edukację potomnych, ukryte w starej poszewce na poduszkę, poszły z dymem, obnażając próżność naszego planowania. Wincenty został aresztowany i wywieziony do syberyjskiej Workuty. Był to rok 1944. Kolejnej jesieni okoliczna ludność, umęczona mrozem, zaczęła wyrąbywać dostojne drzewa z brzozowego zagajnika, pozyskując drewno na opał. Bocianie gniazda, skrupulatnie budowane przez lata, jedno po drugim opadały na ziemię. Bociany uleciały do góry i jeszcze długo krążyły nad pobojuwiskiem swoich domów, żegnając swoje dzieci, jeszcze nie umiejące latać. Każdy ptak dla swoich dzieci gniazdo ściele, jak głosi przysłowie polskie.

Minęło parę lat. Apolonia z czasem pogodziła się, że jest samotną matką i najprawdopodobniej młodą wdową. Urodziła Marię Renatę już po zsyłce Wincentego na Syberię. Kiedy wojna dobiegła końca, Marikiniszki nagle znalazły się po wschodniej części linii Curzona. Mała wieś w środku lasu należała teraz do Związku Radzieckiego. Apolonia nie wiedziała, iż o jej losie mocarze tego świata zdecydowali już w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku w Teheranie, a konferencja poczdamska z czterdziestego piątego jedynie dobiła gwóźdź do trumny dla Parszel i Marikiniszek jako polskich obszarów. Gmina Bresław, województwo wileńskie – nazwy te nagle utraciły swoje znaczenie, a obszar województwa został podzielony pomiędzy trzy nowe republiki radzieckie.

W czterdziestym szóstym roku w Bresławiu rozeszła się plotka, że istnieje możliwość wyjechania na zachód. Z ust do ust przechodziła opowieść, że na obszarze między Wartą a Odrą Niemcy pozostawili kamienne, solidne domy, a ziemia jest żyzna. Jeden po drugim mieszkańcy okolicy pakowali swój ocalały po wojnie majątek. Region ten w niczym już nie przypominał tego, czym był przed wojną. Brzozowy las został wycięty, a bociany powróciły po zimie, jednak zniechęcone uprzednimi doświadczeniami, po zatoczeniu kilku kół nad okolicą odleciały dalej na północ. Apolonia długo się wahała. Nie chciała opuszczać ojcowizny i w głębi serca miała nadzieję, że Wincenty żyje. Córka rosła, nie znając ojca. Po latach wpatrywania się w drogę biegnącą do wsi od wschodu, z nadzieją, że Wincenty kiedyś powróci, spakowała tobołki i tak jak czerwononogie ptaki zdecydowała się opuścić zgliszczą swojego dawnego szczęścia.

Zamieszkała ze swoją matką, siostrą i jej rodziną w okazałej kamienicy na terenach odzyskanych w nadodrzańskim Krośnie. Z okna swojego pokoju Maria Renata przyglądała się wielkim statkom i kutrom dostojnie parującym po szerokich meandrach

tej granicznej rzeki. Przerzucone z jednych kresów na drugie, wykorzenione, starały się odnaleźć piękno tego świata w małych, codziennych sprawach. Wiosną Odra wylewała, użyźniając swym mułem okoliczne łąki. Latem jej brzegi pokrywała chmara niezliczonych chabrów i stokrotek, pomiędzy którymi dostojnie przechadzały się stada krów, żółtymi zębami przeżuwając soczystą trawę. Jednak piękno to nijak się miało do uroku Brzezówki z Marikiniszek. Kiedy córka była w szkole, Apolonia zawzięcie malowała rozłożyste brzozy, bocianie gniazda i drewniany dom, którego nieme echo nadal mieszkowało w jej sercu. Świat, którego już nie było.

Kiedy pewnego dnia Apolonia otworzyła drzwi i dostrzegła w nich starszego, posiwiałego pana, z początku nie rozpoznała w nim swojego męża. Musiało minąć wiele dni, zanim uświadomiła sobie, że Wincenty naprawdę powrócił z Syberii. Był rok 1948. Oboje zostali odcięci od swoich korzeni, ich gniazdo, jak i bocianie gniazda w Brzezówce, były już tylko popiołem przeszłości, wspomnieniem, rysunkiem przelewającym na papier z obrazu zapisanego w niemogącym pogodzić się z kolejną losu umysłem. Rysunek ten był jedynie symbolem losu jednostki, dotkniętej decyzjami mocarnych tego świata.

Słów uchodźca, wygnaniec czy przesiedleńca nie używał wtedy nikt. Byli tylko Kresowianami, Polakami-nie-Polakami, takimi samymi, lecz innymi od Wielkopolan osiadłych na zachodnich terenach Rzeczypospolitej. Powoli, rok po roku, krok po kroku, zapuszczali korzenie w nowej społeczności, od nowa próbując zbudować swoje życie w powojennej rzeczywistości. Wincenty rozpoczął pracę w młynie wodnym, a po kilku latach para doczekała się drugiej córki.

Lata mijały, a Wincenty i Apolonia często odwiedzali okoliczny brzozowy zagajnik w Ostrowie koło Sulęcina, lubuskiej wsi, w której spędzili kolejne pięćdziesiąt powojennych lat. Wędrując wśród brzoź, często wspominali Brzezówkę. Gdy długi warkocz Apolonii już całkowicie przyjął kolor porannej mgły, na dachu okolicznej remizy osiedliła się bociania para. Apolonia spoglądała na ten cud natury z niedowierzaniem. Kto wie, czy właśnie te ptaki, jak Wincenty i Apolonia, też nie zostały kiedyś wyrzucone ze swojego gniazda?

*„Nie wzbijaj się nadzieją wysoko jak ptak, byś nie musiał pełzać jak robak”.*

**(John Steinbeck)**

---

## Odwiedziny

Pewnego słonecznego, lipcowego poranka roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, Apolonia siedziała za domem w wiklinowym, bujanym fotelu. Był on nieco obdarty, przez lata dzieląc koleje losu ze swoją właścicielką. Apolonia lubiła przesiadywać w cieniście zakątku ogrodu, pomiędzy malinowym zagajnikiem a tylną, północno-wschodnią, odrapaną młyńską ścianą, która, jak i bujany fotel, lepsze czasy już miała za sobą. Siwy, jak Apolonii włosy, tynk odpadał wielkimi płatami po kolejnej letniej ulewie, ukazując gołe cegły. Stanowiły one silną podstawę wodnego młyna w Ostrowie Lubuskim. Tynk poniemieckiej budowli nie wytrzymał próby czasu, lecz fundamenty i klinkierowe cegły stały równie prosto, jak w momencie gdy perfekcjonistyczny murarz dokładał ostatnią cegłę do tej dostojnej budowli.

Gdy Wincenty wrócił z Workuty i objął stanowisko młynarza, zawodu wyuczonego na dalekiej Syberii, Apolonia często chodziła na poniemiecki cmentarz na obrzeżach wsi, by odwiedzać stary grób. Był to wielki kamień, na którym znajdowały się przez czas i wodę wytarte litery *R. Schrötter, Mühlenbesitzer* – właściciel młyna. Siedząc w ogrodzie, czując letnią bryzę, wiejącą znad niewielkiej rzeki Postonii, rozmyślała o dawnych mieszkańcach tego miejsca i wpatrywała się w malinowe krzaki, które w centralnej części zagajnika zarosły tak bardzo, że trudno było zebrać dojrzałe owoce. Zdawało się jej, że usłyszała niemiecki język. Zdezorientowana wstała i rozejrzała się dookoła, lecz była sama. Usiadła ponownie w wiklinowym fotelu i wzięła do ręki notatnik. Znow usłyszała w oddali „Das ist hier”. Poderwała się z fotela i pobiegła w kierunku ganku od strony ogrodu, przebiegła przez korytarz, łączący młyńskie mieszkania i wyjrzała przez okno reprezentacyjnego ganku z wysokimi, kamiennymi schodami. Przed domem stał zaparkowany samochód.

Volkswagen prezentował się bogato i obco, kontrastując z zaparkowaną w pobliżu białą skodą. Koło samochodu stała elegancko ubrana kobieta w starszym wieku oraz druga, na oko nieco starsza, przy której stał młody mężczyzna. Auto miało obco wyglądające, białe tablice rejestracyjne z czarnymi literami, odwrotnie niż PRL-owskie. Wydawały się szersze i solidniejsze. Apolonia skryła się w niszy ganku, tuż pod oknem z kolorowym witrażem, za którym mogła śledzić ruchy nieznajomych. Kamienną drogą z kocich łbów przejechał stary, żółty traktor, na chwilę zagłuszając twarde głoski niemieckiego języka. Trio chodziło to w prawo, to w lewo, dokładnie przypatrując się budynkowi młyna, raz po raz wskazując poszczególne jego okna. Kiedy odeszli dalej w stronę mostu nad niewielkim wodospadem, Apolonia wychyliła głowę z ganku, by lepiej usłyszeć, o czym mówią. Dobrze znała język niemiecki, choć dawno go nie używała. Akcent nieznajomych brzmiał dziwnie. Wyłapała poszczególne frazy: „tu była kuchnia”, „tego nie pamiętam”, „wygląda na to, że młyn teraz nie funkcjonuje”.

Skupiona na tłumaczeniu poszczególnych słów nie zauważyła, że jedna z kobiet obróciła się w jej stronę i szybkim krokiem udała się w jej kierunku.

Kobieta podeszła do Apolonii, wyciągnęła rękę i przedstawiła się: „Brygida Schrötter”. Dźwięk tych słów sprawił, że z ust Apolonii poleciały łzy. W jednej chwili zdała sobie sprawę, że ta kobieta została niegdyś wyrzucona z młyna, jak Apolonia przed laty z Marikiniszek. Z oczu Brygidy również poleciał potok łez. Nic nie mówiąc, kobiety rozumiały się, wzajemnie odczuwając swoje rany, rany ptaków wyrzuconych ze swoich gniazd. Starsza kobieta i młody mężczyzna przyglądali się im w oddali, zdziwieni. Po paru minutach Apolonia uspokoiła się, zaprosiła gości na herbatę do środka. Kiedy nieco poobijane filiżanki stały na stole, a na talerzyku za gościły maliny z pobliskiego zagajnika, Brygida opowiedziała, jak po latach odważyła się wrócić do domu swojego dzieciństwa. Starsza kobieta była ich kucharką, a młodszy mężczyzna jej synem, który z ciekawości razem z nimi wybrał się w drogę w poszukiwaniu korzeni.

Wzruszona Brygida opowiadała Apolonii, jak wojna zmieniła ich losy. Jej brat został zwerbowany do Wehrmachtu w wieku dziewiętnastu lat. Wyjechał na front wschodni i wszelki śluch po nim zaginął. Wojna skończyła się, granice zostały przesunięte i znaleźli się na terenie obcego państwa. Brygida razem z matką zdecydowała się opuścić ostrowski młyn wodny w 1945 roku i wyjechała do Berlina Zachodniego, a jej siostra do Chile, skazując grób ojca na zaniechanie. Rozmawiali długo, od czasu do czasu popłakując, oglądając stare zdjęcia i przyglądając się posiwiałym włosom. Ich zewnętrzna powłoka była zniszczona i pomarszczona jak tynk na zewnętrznej ścianie budynku, lecz esencja człowieczeństwa, ludzkiej solidarności i miłości była jak solidny mur i fundamenty młyna. Ceglana, silna ściana, na głębokich fundamentach była bazą, która – mimo przeciwności losu i decyzji mocarnych tego świata – stała prosto, wygrywając z każdą wichurą. Wewnętrzna siła, która sprawiała, że kamienny grób z napisem *R. Schrötter, Mühlenbesitzer* był zadbany i czysty.

*Spisane z pamięci, oparte na historiach opowiadanych przez moją babcię, Apolonię.  
Z podziękowaniem dla mojej mamy – Grażyny – za odświeżenie wspomnień  
i przewertowanie rodzinnych zapisków.*

---

## Dzieci nie powinny umierać

Stali nad grobem i płakali. Matka, ojciec, trzech braci, siostra i niemowlę; najmłodszy członek rodziny darł się wniebogłosy. Było go słyhać na drugim końcu cmentarza. Cisza, wiejąca od reszty rodziny, ścisłała za serce bardziej niż spektakularny lament z oscarowego filmu. Choć trudno w to uwierzyć, nie był to film, a nagle ucięte życie. Pod niewielkim kopcem ziemi leżało nagie ciało, zgodnie z muzułmańskim zwyczajem, owinięte jedynie białym prześcieradłem. Ciało należało do czternastoletniego chłopca.

Dzieci nie powinny umierać. Dzieci powinny rosnać, uczyć się, chodzić do szkoły. Powinny bawić się z rówieśnikami, biegać umorusane błotem, podglądać sąsiadów przez dziurę w przegniłym, drewnianym płocie, łapać kijanki do starego wiadra. Dzieci powinny stawać się nastolatkami, przeżywać stany zakochania. Następnie wybierać drogę życia, dokonywać wyborów, tych dobrych oraz tych złych. Dzieci nie powinny leżeć martwe pod kopcem ziemi, przykryte białym prześcieradłem. Dzieci nie powinny odbierać sobie życia.

Na grobie spoczęła tabliczka: Ali, urodzony w Aleppo, w Syrii, 25 marca 2006 roku, umarły w Holandii 31 lipca 2020 roku. Matka Alego, przygrubawa, niska kobieta przed czterdziestką, mocno przytuliła wrzeszczące niemowlę do piersi. Starsze dzieci mocno trzymały jej nogi, bojąc się, że matka wskoczy za Alim do grobu. Ojciec stał koło nich, patrząc osłupiały w kopiec ziemi przed nimi. Dziewięć lat temu porzucili zniszczoną wojną Syrię. Była to decyzja ojca rodziny. Opuścili szare gruzy Aleppo po to, by ich dzieci mogły dorastać w bezpieczeństwie, bez strachu śmierci od spadającej bomby lub utraty rodziców przez zagubioną snajperską kulę. Wyjechali z myślą o ratowaniu przyszłości swoich synów: wtedy pięcioletniego Alego i trzyletniego Alana.

Reszty dzieci dorobili się po drodze: Abir i Rachela urodziły się w Libii, Ahmed w Hiszpanii, a najmłodsza – Leila – w Holandii. Nie, żeby planowali tyle dzieci, tak jakoś wyszło. O antykoncepcji ktoś by pomyślał, gdyby była dostępna. Dzieci były radością ich życia, słońcem i nadzieją. Wyjechali, by Ali mógł spełnić swoje marzenie o byciu lekarzem, a teraz stali nad jego grobem w obcej, wilgotnej, niderlandzkiej ziemi, w kraju, który po raz czwarty odmówił im schronienia. Kraju, którego język Ali znał płynnie i w którym chciał na zawsze pozostać.

Wieczorem tego samego dnia zdjęcie wesołej twarzy Alego (rarytas, gdyż w ostatnich latach Ali uśmiechał się rzadko) – otoczoną puklem czarnych, kręconych włosów – zdobiło czołówki holenderskich stron internetowych: *Czternastolatek odebrał sobie życie w ośrodku dla uchodźców*. Inne nagłówki donosiły, iż „w jego pokoju pozostał gruby, anglojęzyczny atlas anatomii, z zakładką na stronie sześćset osiemdziesiątej drugiej”. Ali studiował anatomię. Chciał zostać kardiochirurgiem.

Dzieci powinny mieć marzenia. Powinny dostać szansę, by te marzenia ciężką pracą zrealizować. Ali studiował, by osiągnąć swój wymarzony cel. Najpierw tajniki niderlandzkiego języka, potem przebieg aorty w odcinku ponadprzeponowym. Gdy po raz kolejny urzędnik służb imigracyjnych przyszedł do rodziny, by oznajmić, że zostaną odesłani do Hiszpanii w ramach procedur dublińskich, Ali wyszedł do sąsiedniego pokoju. Pół godziny później rodzice, zaniepokojeni nadzwyczajną ciszą, otworzyli drzwi. Trzy dni później stali nad mogiłą chłopca z podpisem dorosłego pozbawionego marzeń.

Po opuszczeniu Aleppo rodzina Alego spędziła parę lat w Libii bez prawa pobytu, jako obywatele drugiej kategorii. Po paru latach zdecydowali się szukać szczęścia w Europie. W międzyczasie z dwojga dzieci zrobiła się czwórka, a w Hiszpanii ich los zrównał się z życiem bezdomnych psów, skazanych, jak i oni, na podmostową noclegownię. Wyruszyli w głąb Europy, do Niderlandów. W Holandii rodzina wreszcie odżyła: dzieci w mig nauczyły się języka, poszły do szkoły, zawarły przyjaźnie. Wszystko zaczęło się układać. To wtedy Ali zaczął studiować atlas anatomii, a sen o tym, by zostać kardiochirurgiem wydawał się coraz bardziej realny. Lecz był jeszcze jeden, nad wyraz istotny szczegół: Konwencja Dublińska. Prawo, które mówiło, że gdzie po raz pierwszy zostały pobrane odciski palców, tam należy ubiegać się o azyl.

Po paru miesiącach rodzina została odesłana do Hiszpanii. Służby ochrony rodziny odebrały dzieci od rodziców i umieściły ich w rodzinie zastępczej, a rodzice ponownie wylądowali bez dachu nad głową. Udało się im odnaleźć zagubionych członków rodziny i za ostatnie pieniądze kupić bilet na autobus do Niderlandów. Ponownie próbowali swojego szczęścia. Wydawało się, że z pomocą adwokata uda się uzyskać azyl w Holandii. Niestety. Powolnie funkcjonujące, lecz skrupulatne służby imigracyjne po paru miesiącach znów odesłały rodzinę do Hiszpanii. Tym razem wrócili do Niderlandów jeszcze szybciej. Za kolejne parę miesięcy zabawa w ciuciubabkę się powtórzyła. Za czwartym powrotem rodzina wylądowała w centrum detencyjnym, za kratami. To tam urzędnik służb imigracyjnych odbył z rodziną Alego rozmowę, po czym spokojnie poszedł do swojego domu na obiad.

Atlas anatomii człowieka leży zamknięty na parapecie w miejscu, w które odłożył go Ali po raz ostatni, parę dni temu. Gruby, solidny, z zakładką, niezmiennie pozostawioną na stronie sześćset osiemdziesiątej drugiej. Nikt z rodziny nie odważył się dotknąć tej książki. Ten rozdział i kardiochirurgiczne marzenie pozostanie na zawsze zamknięte, a kamień w ich sercu będzie permanentnie wywierał ciężar co najmniej tak gruby, jak ten atlas.

*Parę dni po pogrzebie ze względu na nadzwyczajne okoliczności rodzina Alego otrzymała pozwolenie na pobyt w Niderlandach. Imiona i daty są fikcyjne, historia rodziny i Alego autentyczna, opis pogrzebu przywołuję dzięki uprzejmości obecnej na nim koleżanki lekarki.*

---

## Stary garaż

Pewnego dnia, gdy miałam dwanaście lat, usłyszałam dzwonek do drzwi. Stał tam ktoś, kogo się nie spodziewałam. Przestraszyłam się. Przede mną ukazało się dwóch mężczyzn pod parasolem, chroniących się przed rzęsywym deszczem. Jeden mówił tylko po niemiecku, języku, którego nauka wtedy niewiele mnie interesowała. Drugi, najwidoczniej Niemiec polskiego pochodzenia, łamaną polszczyzną próbował tłumaczyć.

– Psiepraszam bardzo, ja i ten pan szukamy domu w którym ten pan się urodził – zapytał, a jego słowa brzmiały szorstko niczym padający w oddali deszcz.

Stałam przed nimi z otwartą buzią, ukazując moim gościom wszystkie moje plomby i wypełnienia w dolnej szczęce. Mieli na oko po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Dom, w którym się wychowałam, był wybudowany w latach osiemdziesiątych. Nie rozumiałam, dlaczego nacisnęli guzik właśnie naszego dzwonka. Przecież z zewnątrz od razu było widać, że to nie jest ponemiecka budowla.

– Może chodzi państwu o któryś z tych domów? W tej części Ostrowa jest wiele domów przedwojennych – dodałam, wskazując prawą stronę ulicy.

– Nie, według tego, co ten pan mówi, powinien stać dokładnie tutaj – mężczyzna uparcie wskazywał mój dom rodzinny.

– To niemożliwe, ten dom został wybudowany dużo później.

– A ten dom? – zapytał się Niemiec, wskazując budynek z odpadającym tynkiem i powybijanymi szybami, który służył nam za garaż.

Uśmiechnęłam się pod nosem, kręcąc głową w zaprzeczeniu. Po paru minutach rozczarowani mężczyźni odjechali samochodem z obco wyglądającym numerem rejestracyjnym.

Parę godzin później, gdy opowiedziałam rodzicom o niezwyklej wizycie, dowiedziałam się, że nasz garaż to ponemiecki budynek. Był to stary, zaniedbany dom, w którym prawdopodobnie mieszkali najbiedniejsi Niemcy z wioski. Wtedy uświadomiłam sobie, że wcześniej tego dnia stał przede mną człowiek urodzony w garażu. Budynek poddał się metamorfozie czasu i zmienił wygląd oraz funkcję, lecz intuicja mężczyzny poszukującego swoich korzeni nie zawiodła. Co czuli Niemcy, zmuszeni po drugiej wojnie opuścić rejony swoich praojców? Stali się uchodźcami, przesiedleńcami, a potem przez lata szukali swoich korzeni. Mój gość, urodzony w garażu, zapewne teraz czuł się Niemcem. Po wyjeździe w inny rejon Niemiec po przesunięciu granic w 1945 roku zapewne początkowo czuł się obco, z czasem zasymilował się i po paru latach swobodnie nawigował pomiędzy drzewami w nowym lesie, w nowej wiosce, wśród nowych duchów, mówiących nadal tym samym językiem.

Polacy, którzy po wojnie zostali przesiedleni na Ziemię Odzyskaną, w dużej mierze byli uchodźcami z za Buga. Przyjechali w rejony praojców mojego gościa, z czasem przyzwyczaili się do nowego środowiska, zajęli poniemieckie domy. Ich dzieci zaczęły budować nowe domy, a stare budynki otrzymały nową funkcję. I tak zmieniała się okolica: co niemieckie, stawało się polskie, a co zabużańskie, stawało się lubuskie. Natura nie lubi przestoju, jest ciągle w ruchu. Tak, jak ludzie. Przemieszczali się od zawsze. Od kiedy *Homo sapiens* opuścił Afrykę, ludy przemieszczają się w poszukiwaniu urodzajniejszej ziemi, bezpiecznej przyszłości dla potomnych, lepszych zarobków. Być może *Homo sapiens migrantensis* byłoby lepszym określeniem naszego gatunku?



---

## Kobiety na wygnaniu – od kołyski po grób

Maud ma pięć lat i lubi rysować. Rysuje zniszczone domy, drzewa, szklanę wody. Rysuje to, o co nie może poprosić. Zaczęła mówić, kiedy miała rok i dwa miesiące. Przestała po tym, jak bomba beczkowa zniszczyła dom sąsiadów. Trzyletnia, inteligentna dziewczynka stała przed rodzinnym domem pokrytym szarym, pękającym tynkiem, obsypana warstwą popiołu i kurzu. Od tego momentu wpatrywała się w bezkres wojny. Jej ciemnobrązowe oczy wyrażały pustkę. Jej czarne włosy były rozpuszczone, potargane i skołtunione, jak sprawy w kraju urodzenia. Wpatrywała się w nicość życia w zniszczonym Homs, nie odzywając się do nikogo. Potem gapiała się w bezkres wypalonych pól i zniszczonych wsi, gdy samochód przemytnika został zatrzymany na kolejnym check-poincie kontrolowanym przez bojówki Wolnej Armii Syryjskiej. Nie mówiła, nie płakała, co na kolejnym odcinku przeprawy do Turcji zostało przyjęte z ulgą. Słóczeni na naczepie ciężarówki rodzice Maud, Ahmed oraz Rafif, razem ze starszymi o dziesięć i jedenaste lat braćmi słyszeli wyrazy podziwu, że małe dziecko nie roni łez podczas męczącej podróży. Maud wpatrywała się w drut kolczasty na granicy turecko-syryjskiej, później tym samym pustym wzrokiem – w wielkie światła Sambułu i pomarańczowy ponton, uderzający o fale na wezbranym Morzu Egejskim. Teraz, gdy się budzi, widzi białą płachtę namiotu z jasnoniebieskim logo Organizacji Narodów Zjednoczonych. Gdy rodzinie uda się zdobyć kawałek papieru w obozie Moria 2.0 na greckim Lesbos, Maud zawzięcie rysuje. Dziecięcą rączką kreśli palące się domy. Koloruje samoloty, MiG-i zrzucające bomby. Skrupulatnie rysuje leżące na drodze osoby, wizualizując poległych od kul snajpera przypadkowych przechodniów. Dziecięce, drobne rączki mocno trzymają szarą kredkę. W rysunkach Maud jest dużo szarości – koloru kurzu, gruzu i nędzy. Barwy wojny. Koloru, który po zrzuceniu bomby na dom sąsiadów w Aleppo, pokrył nie tylko jej ubranie, ale również jej myśli, uczucia i marzenia.

Po przybyciu do Niemiec Rafif na krótko odetchnęła. Wreszcie znad głów jej rodziny zniknęła płachta z wypłowiałego od deszczu i słońca płótna, która służyła w Grecji za dom. Zamienili Lesbos na przedmieścia Monachium i z początku wszystko wydawało się, że od tej pory życie będzie się toczyć lepiej. Rodzina znalazła się w grupie osób, która w ramach relokacji z greckich wysp została przesiedlona do Niemiec. Mieszkanie miało dwa pokoje, salon i kuchnię, zupełnie jak ich pierwsze lokum w Homs.

Wrócili do małego, ciemnego pokoju, w którym rodzina została tymczasowo ulokowana. Maud podbiegła do ojca, który ścigał wypłowiały w greckim słońcu płaszcz.

„Baba” – powiedziała Maud. „Baba Ahmed” (tata Ahmed) – powtórzyło dziecko, wyciągając ręce do ojca i przytulając się do niego. Oczy Rafif i Ahmeda zalały się łzami. Były to pierwsze słowa ich najmłodszej córki od czasu opuszczenia Homs. Od tej pory wszystko miało być już tylko lepiej. Miało i było – to znaczy, dla najbliższej rodziny Rafif. Rodziny w definicji europejskiego prawa azylowego – jej męża, dwóch synów i córki. Pozostawiona w Syrii matka zaczynała chorować, miała się coraz gorzej, coraz częściej kaszlała i odkrztuszała krwistą plwocinę. Według praw świętych ksiąg legislacyjnych, matka osoby pełnoletniej to nie rodzina. Osoby spoza rodziny nie można sprowadzić do Europy na zasadzie łączenia rodzin. Rafif wydzwaniała każdego dnia, widząc w telefonie coraz bardziej pomarniałe oblicze starowinki. Wydzwaniała do adwokata, płacząc do słuchawki i błagając o rozwiązanie. Po każdym telefonie od Rafif adwokat wertował sterty wyroków sądów w sprawach imigracyjnych, szukając precedensu, lub choćby natchnienia, by sprowadzić staruszkę do Republiki Federalnej Niemiec. Rafif nie wyobrażała sobie, by jej sześćdziesięciosiedmioletnia matka, zależna od pomocy sąsiadów, mogła odbyć trasę, jaką ona odbyła wcześniej z mężem i dziećmi. Mogła tylko czekać i co dzień wybierać numer do prawnika. Z każdym tygodniem rozumiała coraz więcej z jego *der-die-das* w tym dziwnie brzmiącym języku.

Lata mijają, telefony Rafif do adwokata stawały się coraz bardziej błagalne. Językiem niemieckim posługiwała się teraz płynnie, lecz jej matka, Tomador, nadal siedziała uwięziona w pograżonym wojną kraju. Z trudem zdobyła akt zgonu ojca, zaświadczenie, że jest jedynaczką i wyniki badań lekarskich z Syrii, przetłumaczone przez przysięgłego tłumacza. Z dokumentów tych jednoznacznie wynikało, że Tomador jest zależna od pomocy osób trzecich, a Rafif jest jej jedyną żyjącą krewną. Jednak służby imigracyjne wymagały nowych dokumentów, a kiedy wreszcie się nimi nasyciły, oświadczyły, że Tomador nie jest zależna od pomocy jedynaczki. Motywacją był fakt, że do tej pory staruszka świetnie sobie radzi, o czym świadczy fakt, że jeszcze żyje po tylu latach trwania procedury. Rafif ponownie odwoływała się od decyzji, procedura kończyła się i zaczynała ponownie.

Matka Rafif podupadała na zdrowiu przez niekończącą się wojnę, przeszywającą samotność i nasilające się krwioplucie. Lekarze niewiele mogli dla niej zrobić. W Syrii brakowało wszystkiego. Z czasem dojście do najbliższego, słabo wyposażonego sklepu stało się niemożliwe. Tomador pomagał znajomy taksówkarz, który pamiętał ją jeszcze z czasów, kiedy była nauczycielką arabskiego w szkole podstawowej. Kiedy i on wyjechał z kraju, sąsiadka, równie leciwa jak Tomador, wpadała czasem z pomocą. Dopiero gdy sąsiadka zamieniła niewygody Homs na turecką wieś, niemiecki sąd trzeciej instancji nakazał służbom imigracyjnym sprowadzenie leciwej staruszki do córki.

Gdy Rafif odebrała matkę na lotnisku, płakała całą drogę do domu. Nie widziały się siedem lat, lecz nie były to łzy szczęścia, a przerażenia. Niegdyś witalna kobieta, wyglądała teraz jak czterdziestokilogramowe chucherko z zapadłymi policzkami. Po

dwóch tygodniach było jasne: gruczolakorak płuca wraść w oskrzele i naczynia krwionośne, a przerzuty były obecne we wszystkich organach. Rafif płakała coraz częściej, żałując straconych siedmiu lat. Matka uśmiechała się i dopytywała, co doktor powiedział. „Potrzebne jest kolejne badanie” – odpowiadała Rafif.

Tomador przekroczyła Styks pewnego grudniowego poranka. Była uchodźczynią przez jedynie cztery tygodnie. Umarła w obcym kraju, została pochowana w obcej ziemi. Córka osobiście zawiązała ciało matki w całun i z niedowierzaniem wrzuciła do dołu garść zimnej, niemieckiej ziemi. Kiedy Rafif wracała z pogrzebu, dostrzegła siedzącą pod mostem parę. Zima była tego roku łagodna, lecz gdy Rafif podeszła bliżej, zobaczyła mężczyznę i kobietę, bez kurtek, odzianych jedynie w grube swetry. Próbowła nawiązać z nimi konwersację, lecz dziwna ta para najwyraźniej nie rozumiała języka Goethego. Dopiero wtedy jej wzrok padł na ogromny, ciężarny brzuch kobiety i jej błagalny wzrok. Cykl życia i śmierci – myślała Rafif, wyciągając dłoń w kierunku kobiety, gestem dając jej do zrozumienia, że chce jej pomóc. Uchodźstwo nie ma początku ani końca. Jeden umiera jako wysiedlony, a inny takim się rodzi. Wszyscy jesteśmy obywatelami jednej planety, lecz dla każdego ta ziemia jest inna. Jednych nosi ona na rękach, karmi słodkimi daktylami od kołyski po grób, a tych mniej szczęśliwych przerzuca z kamienistego kąta w zakamarek na urwistym stoku.

*„Osoba może urodzić się tylko w jednym miejscu. Jednak może umrzeć kilka razy gdzieś indziej: na wygnaniu, w więzieniach, w ojczyźnie zamienionej przez okupację w opresję i koszmar”.*

*(Mahmoud Darwish, poeta palestyński)*

---

## Drenthe dla Ukrainy

Dziurawa skarpetka, patyczek do czyszczenia uszu, lalka z podrapaną twarzą – przeglądam podarowane rzeczy. Odkładam je na lewą stronę korytarza. Ryż, kasza, anyżowa herbata z arabskim napisem. Przedmioty te wędrują na prawą stronę. Otwieram kolejny karton – pełen szamponów z napisanym ręcznie przesłaniem i ukraińską flagą namalowaną niewprawną, dziecięcą ręką. Karton jest ciężki. Gdy go przesuwam w prawo czuję ból w odcinku lędźwiowym kręgosłupa.

Jak się w to wpackowałam? Zastanawiam się przez chwilę, wchodząc po schodach na górę po kolejny worek na śmieci. Przez chwilę widzę pakunki z góry, z innej perspektywy. Spoglądam na nie niczym anioł na ziemię, klnęć na zło tego świata, wszystkie wojny i przeszywający ból prawej łopatki. Widzę wielkie, czarne worki, kartony, plecaki, śpiwory. Stos pieluch – cierpienie dzieci najbardziej porusza serca. Dostrzegam posegregowane kartony z krzywo przyklejoną etykietą w trzech językach. Przypomina mi się kobieta, która w pośpiechu wręczyła mi trzy półpuste buteleczki z żelem do dezynfekcji rąk – w zmięczeniu pandemii zbędnych. „To na akcję!” – rzuciła od niechcienia.

Skąd pomysł? Kees musi posiać kukurydzę. Kees zostaje na Ukrainie. Nie, Kees wyjechał z Ukrainy. Brakowało kukurydzy na posiew. Krowy muszą jeść. Bez paszy nie będzie mleka, cielęciny, zakład nie będzie produkował. Bez produkcji nie ma pracy, a światowy głód zagraża ludzkości. Bomby spadły wprawdzie w sąsiedniej miejscowości, lecz jeszcze nie na teren zakładu, 200 kilometrów od Kijowa. Będzie dobrze. Żona i dzieci wyjechały do dziadków do Niderlandów, na wszelki wypadek. Tęsknią, nie są przyzwyczajone rozmawiać z innymi dziećmi po niderlandzku. Dostawa kukurydzy na posiew nie dojechała. Brakowało diesla do ciągników. Kees, ogarnięty wizją globalnego niedoboru żywności, pod koniec marca spakował golarkę oraz parę majtek do samochodu i wyjechał przez Rumunię do rodzinnego kraju – lobbować przeciw tej okrutnej wojnie. Oraz zabiegać o kilka ton kukurydzy do posiania. Trzeba zasiać do pierwszego kwietnia, inaczej nie wzejdzie.

Kolejny worek lepi się od czekolady. Zdrapuję resztki klejącej papki z palców. Kawalek ucha czekoladowego zająca wkładam do ust, słodka nagroda za mrówczą pracę. Wielkanocna figurka poległa pod ciężarem podarowanych kołder i pościeli. W trzecim kartonie odkrywam trzy smartfony, baterie i powerbanki. Rzeczy, których nie było na liście. Każdy kreatywnie przynosi to, co sam sądzi, że się przyda w kraju ogarniętym wojną. Moje skupienie na sortowaniu przerywa dzwonek do drzwi. Zanim do nich dojdę przez kartonowo-workowo-pakunkową entropię, doj-

rzę w oddali dwóch niskich mężczyzn o śniadej skórze, którzy zostawili przed domem dwa worki pełne dziecięcych kurtek, swetrów i czapek. Oraz kolejny zestaw syryjskiej, anyżowej herbaty.

Kolejna dziurawa skarpetka męska, czarna w niebieskie paski. Znoszone dziecięce buty, pojedyncza rękawiczka. Zabawkowy piesek z oderwanym ogonkiem. Dlaczego zdecydowałam się udzielać w zbiórce? Czasami przypomina to sortownię śmieci. Czy dlatego, że znajomi Keesa z dzieciństwa byli tak przekonujący? Czy po prostu chciałam poczuć fizyczny ból, by w pewien sposób dzielić z uchodźcami ciężary tej wojny? Na lewo góra śmieci. Na prawo – pasty do zębów, mleko w proszku dla niemowląt. Jutro odjeżdża trzecia ciężarówka, dwie dotarły już na teren Ukrainy. Wiele rzeczy śmieciarka zabrała na wysypisko. Dzwonek do drzwi – matka z dwójką dzieci wieku dziewięć i jedenaście lat przywiozła kilka palet zupy pomidorowej w puszkach. Za odłożone kieszonkowe, mówiła matka. Inicjatywa dzieci.

Ruch, akcja, udzielanie się daje ludziom poczucie, że coś robią, że nie są pasywnymi obserwatorami okrucieństwa transmitowanego na żywo na kanałach YouTube. Pozwala to wysublimować paraliżujący lęk w poczucie kontroli. Dziurawa skarpetka ląduje po lewej stronie – ruch, akcja, niezgoda na wojnę. Rozlany szampon z ręcznie napisanym przesłaniem w cyrylicy – szus, szus, okrężnym ruchem wycieram plamę wstydu własnego człowieczeństwa<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Tekst ukazał się w „Pro Libris” 2023, nr 3/84 (<https://prolibris.net.pl/drenthe-dla-ukrainy/>), s. 18.

---

## Dzięciół i brzoza

Siedzę na mokrej trawie przed domem, nasłuchując, jak para dzięciołów uparcie wystukuje dziuplę w białym, lekko zmurszałym pniu rozłożystej brzozy. Dwa czerwono-kupre ptaki rozpoczęły swą pracę trzy tygodnie temu, ciągle przerywając swym nieustannym stukaniem mój stan zamyślenia. Oburzyłam się na niepojęty fakt rozproszenia umysłu powtarzalnym, rytmicznym odgłosem ptasich budowniczych, lecz gdy mój wzrok padł na czarne i czerwone pióra, pięknie kontrastujące z korą brzozy, bielejącej w porannym słońcu, oburzenie wysublimowało do stanu zachwytu i od tej chwili z dumą przyglądałam się ich megalomańskim wybrykom. Rozpierała mnie duma, gdyż dzięciola para wybrała sobie na gniazdo właśnie naszą brzozę, mając do wyboru co najmniej dwadzieścia innych drzew, które wspólnym wałem zamykały ogrody położone przy naszej ulicy.

Babcia Apolonia rysowała brzozy. Białe pnie, odchodzące od nich konary, drobne, zielone liście i lekko brązowawe kwiatostany zebrane w kotki. Na jednym z drzew zawsze widniało bocianie gniazdo. Brzozy rosły koło jej zabużańskiego, drewnianego rodzinnego domu w Markiniszkach, zanim dom ten został spalony, a jej rodzina zmuszona do podróży w kierunku nieznanych wtedy jeszcze, zachodnich „Ziem Odzyskanych”. Brzozy są gatunkiem mało wymagającym, rosną na piaszczystych glebach i szybko dostosowują się do nowych warunków. Babcia dostosowała się do nowego życia w starym młynie w lubuskiej wsi. Koło ostrowskiego jeziora – w którym przepłynęłam pierwsze, niezgrabne, lecz samodzielne pływackie metry – znajduje się brzozowy zagajnik.

Początkowy, niedojrzały stan euforii zastąpiły konwencjonalne, pragmatyczne troski. Co się stanie, jeżeli brzoza jest chora? W końcu dzięcioły rzadko tworzą dziuple w zdrowym, twardym drewnie, znacznie częściej wybierają drewno już uszkodzone, skażone niewidoczną grzybnią, które łatwiej poddaje się manipulacji ich pneumatycznych dziobów? Ponoć na kolorowych piórach tych ptaków przenoszone są zarodniki pleśni, która zmiękcza drewno, ułatwiając im pracę. Spoglądając w górę, na sporych rozmiarów dziuplę wrytą w drzewie, nagle poczułam mieszaninę strachu i nienawiści do ptasiej pary, do moich nowych, nieproszonych sąsiadów. Nie potrafiłam sobie wyobrazić ogrodu bez skąpanej w słońcu brzozy, za którą nieśmiało chowało się zachodzące słońce, uwidaczniając jej dostojne zarysy i pozwalając tańczyć jej liściom w ostatnich promieniach dnia, niczym iskry z popielnika. Nie cieszył mnie już fakt, że niebawem z dziury w drzewie wyłonią się niewielkie, niezdolne jeszcze do lotu ptasie lębki, czekające na rodzica lecącego z soczystą jeżyną lub tłustym robakiem.

Kiedy znajdujemy się w nowej sytuacji, nasz umysł analizuje dane zapisane na twardym dysku zwojów kory hipokampa i porównuje nowe dane z tymi już zapisa-

nymi. Nowi sąsiedzi zaburzają porządek naszego świata, zmuszając do konfrontacji z innym, niepoznanym. Przybycie Kresowian na lubuskie tereny w powojennych latach było nie lada wyzwaniem dla osób, które zamieszkały tam tuż po wojnie, przybywając wcześniej często z rejonów Wielkopolski. Zabuzanie mówili inną polszczyzną, mieli śpiewne „ł”. Być może, wywoływali w innych strach lub poczucie zagrożenia i konkurencji o zasoby. W dzisiejszym, zglobalizowanym świecie nowymi sąsiadami mogą nagle zostać osoby, które zmuszone kolejną losu dopiero co wczoraj nauczyły się mówić „good morning”.

Zrobiło się zimno. Mokra od porannej rosy wstałam z trawy, udając się do domu. Bioróżnorodność gatunków flory i fauny świadczy o zdrowiu ekosystemu. Powinna mnie rozpierać dumą, że dzięcioły ukoronowały właśnie nasz ogród, lecz zamiast tego czułam tylko wilgoć na spodniach, złość i zimno. Akceptacja nie przychodzi sama. Nie jest łatwa, wymaga nieustannej pracy i skrupulatnych poprawek, jak tekst pełen literówek po zamianie w formę znaków na ekranie. Sięgnęłam po ciepłą herbatę Earl Grey z bławatkami, którą rodzice przysłali mi z Polski, spoglądając przez okno na pień brzozy. Dojrzałam na niej nie tylko czerwony ogon dzięcioła, lecz i czarne piórka sroki, która zaciekawiona przysiadła na gałęzi, podziwiając nowego sąsiada. Na pobliskim buku rozpoczął się ptasi świergot, brzmiący zupełnie jak *Oda do radości*. Spojrzałam na rozłożyste drzewa w ogrodzie i pomyślałam, że jest w nim dostatecznie dużo miejsca i pokarmu dla nowych lokatorów. A kto wie, być może za rok w dziupli pozostawionej przez dzięcioły zamieszka ruda wiewiórka?